

poprostu

STUDENCKIE CZASOPISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE

W Warszawie przed sesją



Kłopoty ogrodników

Negatywnymi bohaterkami przedsesyjnej narady drugiego roku ogrodnictwa były niewątpliwie koleżanki Aniela Archita i Elżbieta Adamiec. Co prawda one same na naradę nie raczyły przybyć, ale za to mówiono o nich немало: że opuszczają wiele zajęć, nie uczą się systematycznie, nie pracują społecznie i w ogóle są „ogonem” roku, który na SGGW bądź co bądź jest zaliczany do najlepiej pracujących. Kiedy zastanawiano się co tu robić — padło z sali pytanie:

— Czy z nich będą dobrzy ogrodnicy?

I wokół tej sprawy potoczyła się krótka zresztą dyskusja. Aniela już chyba nie będzie dobrym ogrodnikiem, nie widać u niej ani zainteresowania przedmiotem, ani szczerych chęci, by sobie takie zainteresowania wyrobić. A więc jeśli nadal będzie w dyscyplinie na bakier — uczelnia powinna z niej zrezygnować. Trochę inna jest sprawa Elżbiety: czasem potrafi zapalić się do nauki, jest zdolna, tylko niestety — próżniak i bardzo niesystematyczna. Kolektyw próbuje chyba jeszcze nad nią popracować.

*

Dla uczestników narady wszystko to było oczywiste. Ale kogoś z zewnątrz, kogoś, kto widział życie studenckie i na innych uczelniach, musiało tu mile zaskoczyć wiele nowego.

Na wielu uczelniach omawiając sprawy bumelantów rozstrząsa się problem: czy dany kolega jest do b r y m s t u d e n t e m? A że pojęcie studenta i w ogóle studiów jako jakiegoś celu samego w sobie musi być abstrakcyjne, więc i rezultaty takich rozstrząsań nieraz budzą wątpliwości.

U ogrodników z SGGW jest już inaczej. Dla nich studia są tylko drogą do jasno określonego celu i dlatego takie sprawy rozpatrują oni pod innym aspektem: czy student b e d z i e dobrym, wysoko kwalifikowanym i ideowym f a c h o w c e m? Wtedy i jaśniej widać problem i łatwiej o słuszną decyzję.

Tak było nie tylko przy sprawie Anieli i Elżbiety. Kiedy omawiano sprawy poszczególnych przedmiotów — dyskusja bynajmniej nie ograniczała się do tego, czy ludzie się uczą i jak się uczą. Przeciwnie: najczęściej mowiono właśnie o

tym, czego i po co się uczą. I tu padło szereg krytycznych uwag pod adresem wykładowców, programu studiów.

Władek Puławski sporo mówił o tym, że wykłady dałyby mu większą korzyść, gdyby w nich było więcej mowy o współczesnym, socjalistycznym rolnictwie — choćby kosztem ograniczenia spraw historycznych. Poparł go Henryk Zdyb podając ciekawy przykład: na wykładach z maszynoznawstwa aż kilka godzin poświęcono sierpowi i kosie ale nie było ani słowa o rolniczych kombajnach. Doświadczenia z pierwszej praktyki rolnej Małgorzaty Reyman nasunęły jej wniosek, że w programie warto by uwzględnić sprawę bezpieczeństwa i higieny pracy w rolnictwie.

Może nie we wszystkim mieli tu studenci rację, może trochę nie doceniają teoretycznych podstaw, jakie ma im dać uczelnia. Ale najważniejsze, że leży im na sercu, aby ich nauka jak najbardziej wiązała się z potrzebami współczesnego ogrodnictwa.

Oczywiście nie można liczyć tu tylko na wykładowców. I dlatego na naradzie mówiono też o współpracy z produkcją rolniczą. Orodnicy z SGGW współpracują z kilkoma gromadami: poprzez prowadzenie różnych badań naukowych (np. badania kwasowości gleb), poprzez udział w pracach ogrodniczych czy opiekę nad kółkami miczurinowskimi, pomagają rolnikom w zwiększaniu plonów, a sami korzystają z tego chyba jeszcze więcej. Toteż właśnie przed sesją mówili o tym, co im daje współpraca z rolnictwem, jak pogłębiają tę wiedzę dzięki występowaniu zespołu artystycznego, do którego należy blisko połowa roku.

Lecz czy można być już zupełnie zadowolonym? Kolega Bartman opowiadał, jak to kiedyś robotnicy rolni kpili z absolwentów SGGW, którzy nie potrafili odróżnić najprostszych gatunków drzew. „I wśród nas są tacy — mówił Bartman — zwłaszcza wśród pochodzących z miasta. Zamiast żądać, aby się ich wszystkiego nauczyło, zamiast czekać na praktykę w terenie, mogliby nawet tu, choćby na spacerach w warszawskich ogrodach, niejedno poznać, niejednego się uczyć. Trzeba tylko więcej zamiłowania do ogrodnictwa, więcej serca do tej nauki”.

*

O wielu jeszcze sprawach mówiło się na naradzie drugiego roku

ogrodnictwa. I choć była to narada przedsesyjna — mówiono nie tylko o tym, co zwykle słyszy się przy tego rodzaju okazjach: co robić, jak pomagać słabym, jak organizować repetytoria, żeby dobrze przygotować się do egzaminów. Głównym kłopotem przedsesyjnym ogrodników jest takie opanowywanie nauki, aby dobrze przygotowywać się do przyszłego zawodu. Gdy ten kłopot rozwiążą, wtedy i wyniki sesji będą naprawdę dobre.

W. GŁOWACKI



W pracowniach chemicznych zapach nie jest najprzyjemniejszy, toteż kol. Krystyna Starońska z III roku farmacji korzysta z krótkiej przerwy, by „wchłonać” jak najwięcej świeżego powietrza. W przedsesyjnej „gorączce” pomoże orzeźwić się nawet słaby zapach kwiatu czereśni.

A jak to jest naprawdę z tą „gorączką”? O tym i o innych przedsesyjnych sprawach warszawskiej AM czytaj na str. 6.

Foto: A. Musiał

Wiosenna Ankieta

poprostu

Jest śliczna pogoda. Maj i słońce zapraszają na wycieczkę, nad wodę, do parku. Ale zbliża się sesja. Jeszcze tylko parę tygodni i trzeba będzie zdawać egzaminy. Jak pogodzić naukę, obowiązki studenckie i społeczne z wiosną, z pragnieniem odpoczynku i rozrywki?

Czy Ci się to udaje?

Opowiedz o tym innym! Weź udział w Ankiecie POPROSIU, odpowiadając na pytania:

1. Jak gospodaruję czasem, aby mieć wolną chwilę na odpoczynek i rozrywkę?
2. Jak spędzam ten wolny czas?
3. Co umożliwiłoby mi spędzenie tego czasu w sposób bardziej przyjemny i pożyteczny?

Przy odpowiedzi należy podać imię, nazwisko, uczelnię i wydział. Rozpatrywane będą również odpowiedzi anonimowe, opatrzone godłem lub pseudonimem.

Autorom najciekawszych wypowiedzi przyznane zostaną następujące nagrody:

1. Czterolampowy odbiornik radiowy
 2. Dwutygodniowe uczasy studenckie (termin i miejscowość uzgodnione zostaną z nagrodzonym)
 3. Piłka do siatkówki
- 4-8. Bony książkowe po 100 zł
9-20. Bony książkowe po 40 zł

W wypadku przyznania nagrody za wypowiedź anonimową autor będzie mógł otrzymać nagrodę po podaniu nazwiska (wyłącznie do wiadomości redakcji).

Termin nadsyłania odpowiedzi do 20 czerwca br.

JÓZEFINA BEKER

Skandal w Hawanie

Było to wiosną roku 1953 w Hawanie. Kiedy po występie opuszczałam budynek kina, zobaczyłam nagle skierowane w moją stronę cztery pistolety.

— Jest pani aresztowana — rzekł do mnie jeden z uzbrojonych cywilów, błyskając znacznikiem policyjnym.

— Dlaczego? — zapytałam zdumiona.

— Ze względów bezpieczeństwa publicznego — odpowiedział funkcjonariusz i poprowadził mnie do czarnego samochodu, który czekał w pobliżu.

Gdy jechaliśmy już ulicami Hawany zauważyłam, że obaj siedzący przy mnie z dwóch stron policjanci trzymają w dłoniach pistolety.

— Proszę panów o schowanie broni — powiedziałam i roześmiałam się tak uwodzieńczo, jak tylko mogłam. — Moją jedyną bronią jest mój głos. Nie potrzebujecie się obawiać z mojej strony żadnej napaści.

Moi konwojenci milczeli nadal ponuro, jednak broni schowali. W samochodzie zapanowała cisza i mogłam spokojnie przebiec myślą wypadki poprzedzające aresztowanie.

Do Hawany przybyłam w ramach wielkiego tournée artystycznego. Objechałam już połowę świata. Wszędzie tańczyłam, śpiewałam i występowałam przeciw nienawiści rasowej. To ostatnie było dla mnie najważniejsze.

Aby móc opłacić koszt mego „wyprawy” przeciw rasizmowi, musiałam naturalnie występować na scenie. Również w Hawanie oczekiwało na mnie wiele kontraktów, ale po przyjeździe dowiedziałam się, że wszystkie umowy, jakie poprzednio zawarłam, zostały unieważnione. Moja obecność w Hawanie była Amerykanom bardzo nie na rękę. Wychodząca tu gazeta amerykańska pisała po moim przybyciu, że Hawana może się stać końcem mojej kariery. Jeżeli nie zrozumie, jak mam się zachować, to oni mi pokazą.

I — pokazał.

Obydwa wielkie hotele Hawany odmówiły mi pokoi. Nie wpuszczano mnie do kin i kabaretów. Gdy przyjechałam przed budynek Radio-Hawany, dwóch policjantów zatrzymało mnie przed wejściem, mimo że byłam tam oczekiwana. Wyjaśnili mi, że poseł USA w Kubie zabronił mi wstępu do Radia w Hawanie.

Postanowiłam zaprotestować. Stałam więc przed portalem budynku radiofonii od godziny trzeciej po południu do 10 w nocy. Ludzie zatrzymywali się na chodnikach. Udzieliłam wielu wywiadów dla prasy. Mieszkańcy przekonywali się z przerażeniem, do jakiego stopnia ich kraj stracił swą suwerenność.

Ale moje przygody w Hawanie nie skończyły się tylko na tym. Podczas mojego pierwszego pobytu w tym mieście przed kilkoma laty występowałam w jego największym kinie. Właściciel tego kina stał się jednym z moich najlepszych przyjaciół. I teraz chciał mnie również zaangażować. Uzgodniliśmy wszystkie warunki. Lecz po kilku dniach przyszedł do mnie i tłumaczył z zażenowaniem, że zrealizowanie umowy ze mną jest niemożliwe. Zarówno władze USA jak i amerykańskie wytwórnie filmowe zakazały mu wynajmowania sali dla moich występów.

Ostatecznie udało mi się wynaleźć małe kino, w którym mogłam wystąpić. Należało ono do pewnego dzielnego Mulata, który odważył się zaangażować mnie na kilka wieczorów. Gdy dowiedziano się o tym, telefon w jego biurze nie przestawał dzwonić. Od rana do nocy telefonowali doń Amerykanie. (nie wiedząc, że jest „kolorowy”) zasypując go pytaniami jak się nie

(dokończenie na str. 2)



Zapytujemy Ministerstwo Kultury i Sztuki, kiedy zamierza ustosunkować się do artykułu pt. „Niewiarygodne, ale prawdziwe — o sytuacji na Akademii Sztuk Plastycznych w Krakowie”.

Nadmieniamy, że termin przewidziany ustawowo minął w dniu 6 maja br.



Zimowa sesja egzaminacyjna wypadła na SGGW dobrze: wielu studentów opuszczało pokój egzaminatora z taką miną, jaką widziamy u tej koleżanki.

Oby i w nadchodzącej sesji nie było inaczej. Foto: A. Musiał

Łowca czarownic i jego dysponenci

Niektórzy twierdzą, że nie ma przyjemniejszej rozrywki nad rozwiązywanie zagadek. Spróbujmy zatem odgadnąć nazwisko pewnej znanej współcześnie osobistości. Rzecz to doprawdy nietrudna, jako że postaramy się określić tę postać możliwie dokładnie.

A więc kto to jest:

Otrzymuje obecnie pensję 13 tys. dolarów rocznie, lecz w ciągu 4 lat uskładał sobie 173 tys. dolarów.

Do śledztwa i prześladowań czuje tak nieodpartą potrzebę, jak zabójstwo pisa- teli flanelowych spodni.

Rozwinął niebywale działalność pewnej komisji Senatu USA.

Zagroził zatapianiem „tych przeklętych angielskich statków”, jeżeli będą pływać do Chin Ludowych.

Pochodzi ze stanu Wisconsin...

Wystarczy. O tak, Czytel- nicy, macie rację, to ostawia- ny senator McCarthy. Wiemy dobrze, co robi ten „łowca czarownic”. Jednakże wiedza nasza o nim byłaby niepełna, gdyby pozostało dla nas ta- jemnicą, za czyje pieniądze on to wszystko robi. Przypa- trzmy się więc, jacy ludzie stoją za McCarthy'm.

Są to przede wszystkim królowie ropy z Texasu. Głównym finansistą McCar- thy'ego jest H. L. Hunt, któ-



rys. J. Cwiertnia

rego majątek ocenia się na 600 — 700 mln. dolarów. To on właśnie opłaca faszystowską propagandę senatora, który swymi wypowiedziami za- lewa społeczeństwo USA za pośrednictwem 500 stacji ra- diowych i telewizyjnych. In- teresy pana Hunta i teraz idą dobrze, rzecz uważa on, że mogłyby iść jeszcze lepiej, gdyby prezydentem USA był nie Eisenhower, lecz „jego” człowiek — McCarthy. Oko- liczność ta wyjątkowo nam w pewnym stopniu sens wy- padków McCarthy'ego przeciw Biłemu Domowi.

Niemalby udział w finanso- waniu poczynił herolda a- mekańskiego faszystyzmu Hugh Roy Cullen, właściciel „Quintana Oil Company”, a jednocześnie zaciekle rasista. Nie może on się jednak row- nać z pomysłowością Clint Murchison'a, pana na 300 mil- lionach dolarów zainwestowa- nych w naftę, hodowlę by- dła, linie okrętowych i autobusowych. Otóż tenże Murchison wydał z własnej kieszeni 15 tys. dolarów, by- tylko „wykończyć” senatora Rentana ze stanu Connecti- cut, który podjął „heretycki” zamiar demaskowania ma- chinacji finansowych Mc Carthy'ego. Ze swej zaś stro- ny McCarthy ułatwił swemu przyjacielowi nabycie 176 tys. akrów pól naftowych w Hiszpanii frankistowskiej. W jakim stosunku nastąpił po- dział akcji, tego dowiedzieć się nie byliśmy w stanie, lecz pewne jest, że obaj czcigod- ni panowie spodziewają się dobrze zarobić na żyłowaniu ziemi i chłopów znad Ebro.

Na tym bowiem żyłowaniu polega cała treść poczynia- nia panów od Texasu do Wall Street, a zadanie pana Mc Carthy'ego polega właśnie na dławieniu wszystkiego, co się temu procederowi sprze- ciwici.

STANISŁAW ALBIEWSKI

HENRYK KASSYANOWICZ

Słomiany Talleyrand

O by pan Bidault zrozumiał wreszcie, że trzeba skoń- czyć z indochińską a- wanturą, że nie czas już bawić się w sło- mianego Talleyranda lub przemawiać jak zwycięzca, gdy się reprezentuje kraj, który dopro- wadziło się do klęski.

Taki to pełen gorzkiej komentarz wyrwał się burzującemu dzien- nikowi francuskiemu „Combat” na wiadomość o upadku forticy Dien Bien Fu i poddaniu się jego 16-ty- sięcnej załogi wojskom Wietnam- skiej Republiki Demokratycznej. Komentarz, który dobitnie odzwier- ciedla jak głęboko odczuło spo- łeczeństwo francuskie tę niepotrzebną klęskę, jak powszechne jest obra- żenie narodu francuskiego przeciw- ko tym, którzy odpowiedzialni są za niepotrzebną śmierć kilku tysięcy obrońców twierdzy.

Ale wszystkie znaki na niebie i ziemi, a konkretnie poczynania francuskiego ministra spraw zagra- nicznych Bidault w Genewie wska- zują, że mimo Dien Bien Fu usiłu- je on nadal odgrywać tę mało chwalebna rolę słomianego Talley- randa, że śmierć oszukanych i z zi- mną krwią poświęconych obrońców twierdzy pragnie on wykorzystać jako atut w swych planach zmie- rzających do kontynuowania brud- nej wojny. Minister Bidault nie po- trąca i nie chce odmówić swym amerykańskim protektorom prowa- dzenia tej wojny i w jej imię nie waha się skazywać na niepotrzebną śmierć nowych żołnierzy francu- skich, oszukiwać kraj i naród, zdrad- zać jego najżywniejsze interesy.

Taki jest bowiem sens przedło- żonych przez Bidault w Genewie „propozycji” mających zrekomo- szyć pokojowemu rozstrzygnięciu konfliktu, a w istocie będących ra- radoksalnym ultimatum przedłożo- nym zwycięzcy przez... zwyciężo- nego. Zrozumiałe odrzucenie tego ul- timatum przez rząd Wietnamskiej Republiki Demokratycznej posłuży- ma też jako pretekst dla kontynu- owania wojny i dalszego oszukiwa- nia i oklamywania narodu francu- skiego: — Widzicie, myśmy prze- cież zrobili wszystko i posłaliśmy na maksymalny kompromis, lecz cni odrzucili nasze dobre chęci. Teraz więc nie pozostaje nic innego jak przysięganie do montowanego przez ministra Dulles'a paktu wojskowe- go i... prowadzenie wojny.

Nie będziemy omawiali tutaj tych „kompromisowych” propozycji pa- na Bidault. Wystarczy powiedzieć, że wprowadzenie ich w życie ozna- czałoby dobrowolne rozbrojenie części armii wietnamskiej, wydanie na pastwę zemsty marionetkowych reżimów ludności wyzwolonych oś- szarów Khmeru, Patet Lao i częś-

ci Wietnamu. Uwielbieniem tego, byłoby przeprowadzenie osławio- nych „wolnych wyborów”, w wyni- ku których reakcja wietnamska i kolonizatorzy francuscy mogliby znów powrócić do władzy, aby na- dal bez przeszkód eksploatować i gnębić naród wietnamski. Rzeczy- wisty cel propozycji min. Bidault ujawnił nieopatrznie dziennik a- mekański „New York Times”, pi- sząc: „Najlepszą rzeczą, jaka może wynikać z dyskusji indochińskiej jest to, że nie doprowadzi ona do porozumienia i że Francja stanie na zdecydowanym stanowisku oczeku- jąc, aż projektowany pakt południo- wo-wschodniej Azji wejdzie w ży- cie”.

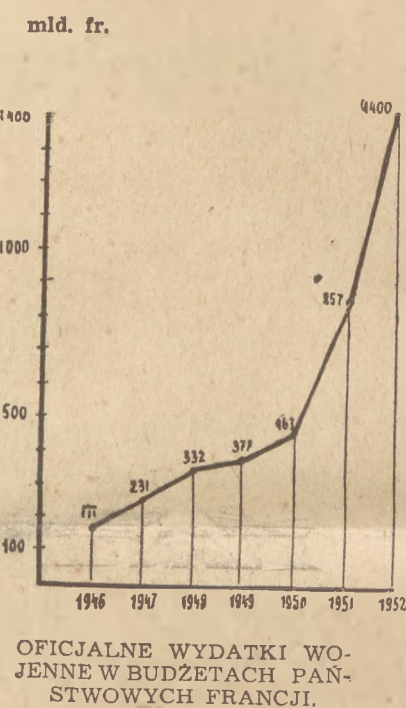
Ale naród wietnamski nie po to 7 lat walczył o swe wyzwolenie, aby obecnie zgodzić się na zaprzepas- czenie owoców swej walki. Delega- cja rządu Wietnamskiej Republiki Demokratycznej po to właśnie przy- jechała do Genewy, aby obecnie po- łożyć kres wojnie, aby zapobiec dal- szemu przelewowi krwi wietnam- skiej i fancuskiej w imię interesów imperializmu amerykańskiego — obcych Wietnamowi i Francji. Taki jest też sens propozycji przedsta- wionych przez ministra spraw za- granicznych Wietnamskiej Republi- ki Demokratycznej Phan Wan Don- ga w Genewie.

Liczne komentarze prasy świat- owej wskazują, że próba odrzucenia tych propozycji po klęsce militarn- ej pod Dien Bien Fu kosztować bę- dzie kolonizatorów francuskich no- wą klęskę polityczną. Dał temu wyraz jeden z dziennikarzy fran- cuskich stwierdzając w rozmowie z genewskim korespondentem „Trybu- ny Ludu” — „Być może, iż to, co teraz powiem, wyda się panu dzi- waczne. Ale niemię tak jest, że obecnie Ho Si Min stwarza mo- żliwość współpracy Indochin w ra- mach Unii Francuskiej. A my, je- żeli odrzucimy te propozycje, bę- dziemy w gruncie rzeczy bili się o to, by Indochiny z tej Unii wyszły i... dostały się pod kontrolę Amery- kanów”.

Bo na tym właśnie polega istota propozycji ministra Phan Wan Don- ga, że wykazują one raz jeszcze, iż między dążeniami narodu wietnam- skiego do niepodległości a uspra- wiedliwionymi interesami Francji

w Indochinach nie tylko nie ma sprzeczności lecz przeciwnie — nie stoi na przeszkodzie, aby w in- teresie obu narodów stosunki mię- dzy tymi krajami były jak najści- ślejsze i przyjazne. Oczywiście pod warunkiem, iż rząd francuski raz na zawsze skończy z kolonializmem, pod warunkiem, iż w uzgodnionym terminie wycofane zostaną z Indo- chin obce wojska; pod warunkiem, że narody Indochin będą mogły sa- me drogą naprawdę wolnych wybo- rów bez obcej kontroli zdecydowa- ć o swoim losie.

Ale do tego właśnie usiłują za wszelką cenę nie dopuścić koloni- zatorzy francuscy, nie ludząc się — jak widać — ani przez chwilę, jaki byłby rezultat takich wyborów. Za wszelką cenę nie chcą do tego do- puścić również Stany Zjednoczone, dążąc do przekształcenia Indochin w jedną ze swoich głównych baz w Azji i usadowienia się tam zamiast kolonizatorów francuskich. Do te- go właśnie solidarnie nie chcą do- puścić imperialistyczni drapieżcy obawiając się, aby przykład Wiet- namu nie pociągnął za sobą tzw. „rewolucji łańcuchowej” w innych ujarzmionych jeszcze krajach kolonialnych. Wszyscy wiedzą jednak jak trudna jest dziś tego rodzaju polityka, usiłująca powstrzymać to czego już nie da się powstrzymać.



NIEDORZECZNA i BEZNADZIEJNA

Dwa i pół tysiąca fran- cuskich żołnierzy ginie co miesiąc w Wietnamie na wielu frontach wojny pro- wadzonej w interesie 200 panujących we Francji ro- dzin bankierskich i ora- czyhających na spadku po- nich — królów, dolaru. Amerykanie wysyłają co- raz więcej sprzętu wojen- nego dla armii kolonialnej, usiłując w ten sposób pod- trzymać upadające siły agresorów. Niemniej jed- nak pomoc ta może zdra- dzać. Natomiast lud francu- ski coraz silniej przeciw- stawia się „brudnej woj- nie”, która całym cięża- rem spada na barki spo- łeczeństwa. Wojna ta ko- sztowała już dotychczas Francję 3 tysiące mili- arów franków. O astrono- micznej wielkości tej su- my może świadczyć np. fakt, że funduszy wyda- nych na wojnę w Indo- chinach tylko w ciągu 5 dni wystarczyłoby na podnie- sienie płacy każdego ro- botnika i urzędnika przed- zbiorstw państwowych o 5 tysięcy franków miesi- ecnie. Za pieniądze, które pochłania 1 dzień „brud- nej wojny” można by zbu- dować 18 szkół średnich. Naród francuski widzi i w całej pełni odczuwa rujnu- jące skutki kontynuowania wojny w Wietnamie. Obu- rzeniu i protestom muszą dać wyraz nawet pisma niekomunistyczne. I tak np. redagowane przez Jean Paul Sartre'a „Les Temps Modernes” głoszą w artykule wstępnym:

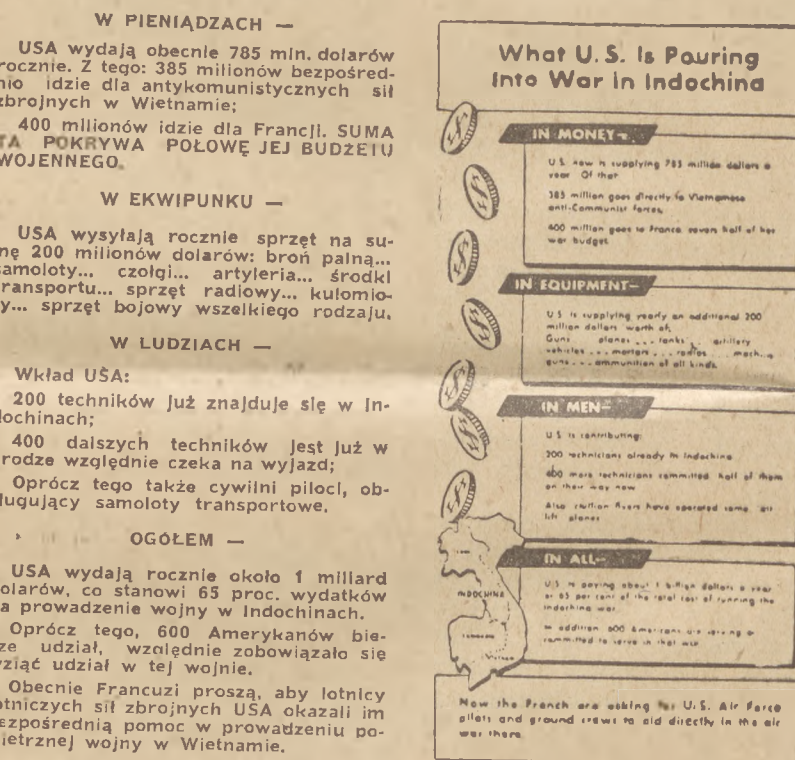
„Francja zrywając w poko- ju umiera powoli z powo- du wojny toczonej się da- leko od niej terytorium. Na froncie giną jej synowie, jej kapitały i bogactwa. Ta

oficjalna indochińska wchła- nia rusztowania domów, ga- zety, tym bardziej staje się ona niedorzeczna, absur- dalna i beznadziejna...”

al. es.

„US News and World Report” wyjaśnia:

Jaki jest udział USA w wojnie w Indochinach



Skandal w Hawanie

(dokończenie ze str. 1)

wstydił gości w swym kinie Mu- latki...

Teraz zwróciłam się do prezy- denta Kuby, generała Fulgencio Batista Zaldivar, który sam nie jest biały. Przedstawiłam mu swoje przejęcia w Hawanie i zapropono- wałam, by przystąpił do Komitetu Honorowego „Międzynarodowej Li- gi do Walki z Nienawiścią Rasową”. Sądziłam, że gdyby prezydent Ku- by należał do Ligi, stosunki w je- go kraju zmieniłyby się na lepsze...

Prezydent Batista milczał rozwa- żając moje słowa. Następnie zapro- ponowałam mi, bym zechciała poroz- mawiać z Ministrem Informacji. Dopiero po tej rozmowie mógłby się zdecydować czy ma przystąpić do Komitetu Honorowego.

Byłam zdumiona tą odpowiedzią, ale jeszcze tego samego dnia uda-łam się do kubańskiego Ministra Informacji. Przyjął mnie szczególnie serdecznie, długo ze mną rozmawiał. Tego samego wieczoru, gdy wycho- dziłam po przedstawieniu w kina, zostałam ...aresztowana.

Co właściwie mi zarzucano? Nie mogłam znaleźć odpowiedzi. Na- głe samochód zatrzymał się przed komendą policji.

W biurze czekała mnie niespo- dzianka. Na stole zobaczyłam mo- ją bieliznę, listy i inne rzeczy nied- bale rozrzucone. W czasie, gdy występowałam w teatrze, policja spiądowała mój pokój, zabierając moje rzeczy do biura policji. Na- tychmiast zaprowadzono mnie na przesłuchanie. Było ono właściwie całkiem zbyteczne. Nikt nie noto- wał moich odpowiedzi. Gotowy pro- tokół przepisany na czysto był już gotowy zanim przekroczyłam progi tego budynku. Z protokołu wynika- ło, że jestem opłacana przez Mo- skwę i że cała moja działalność ma

charakter antydemokratyczny... Gdy odmówiłam podpisania fałszywego i absurdałnego zeznania, kazano mi przejść do innego biura, w którym ściany były obwieszone fotografiami ściganych morderców. Tu wzięto ode mnie odciski palców a następ- nie sfotografowano, przy czym na szyi miałam zawieszoną tablicę z napisem „komunistka”...

Aresztowanie moje nie przeszło jednak niepostrzeżenie. Wielu prze-



chodników widziało jak uzbrojeni po- licjanci wepchnęli mnie do samo- chodu. I podczas gdy walczyłam o moje prawa w komendzie policji, poselstwo francuskie zostało zawi- adomione o wypadku jaki mnie spot- kał. Pośl francuski jeszcze tej sa- mej nocy złożył rządowi kubańskie- mu ostry protest przeciw aresztowa- niu mnie.

Po kilku godzinach zostałam zwol- niona. Nie przeszkodziło to jednak amerykańskiej prasie w Kuby krzyżować następnego ranka ogrom- nymi tytułami, że jestem komu- nistką i dlatego zostałam aresztowa- na. Ale już w następnych wyda- niach gazety zostały zmuszone do zamieszczenia „sprostowań, choć o- czywiście wydrukowano je jako małeńkie, nie zwracające uwagi no- tatki.

Nie jestem komunistką. Ale już jako młoda dziewczyna postanowi-łam poświęcić swe życie walce prze- ciw nienawiści rasowej. Urodziłam się w Stanach Zjednoczonych i już od dziecka poznałam wszystkie poniżenia, które są chlebem co- dziennym Murzynów w USA.

Kto chce walczyć, potrzebuje broni. Kto chce przemawiać, musi mieć odpowiedni głos. Kto chce zdo- być posłuch, musi mieć nazwisko, które zniewoli ludzi do słuchania.

Moje nazwisko miało być tą bro- nią. Musiałam jednak przeżyć przez wiele lat ciężkie, wytężonej pra- cy, by stać się tak sławna, żeby chcieli mnie słuchać.

JÓZEFINA BAKER

Józefina Baker, znana tancerka i śpie- waczka, jest Mulatką. Urodzona i wy- chowana w Stanach Zjednoczonych od wielu lat mieszka we Francji. Jest nie tylko wybitną tancerką, lecz i aktyw- nym bojownikiem antyfaszystowskim. Wypowiedź Józefiny Baker, zamiesz- czoną w czasopiśmie „Friedenswacht”, drukujemy ze znacznymi skrótami.

III Kongres Związków Zawodowych

I Kongres Związków Zawodo- wych w listopadzie 1945 r. re- prezentował około 1 miliona zorganizowanych ludzi pracy; zakończony przed kilku dnia- mi, III Kongres Związków Za- wodowych wyrażał interesy i uczucia już czterokrotnie większej, zorgani- zowanej armii pracy. Wraz ze wzra- staniem siły produkcyjnej roli klasy robotniczej w narodzie dojrzewały ideologicznie i organizacyjnie zwią- zki zawodowe. W wyniku tego na III Kongres mogły one przysięść z poważnymi osiągnięciami.

Obrady Kongresu nie koncentro- wały się jednak na podsumowywa- niu, analizowaniu dorobku. Przebie- gały głównie pod znakiem śmiałej bojowej krytyki, ujawniającej do- tychczasowe braki i błędy, wszelkie niedociągnięcia w pracy związko- wej, które hamują naszą walkę o- szybsze polepszenie warunków ży- ciowych ludzi pracy, o wzrost ich poziomu kulturalnego.

Troska ta przebiegała we wszyst- kich głosach. I w tych, które kry- tykowały instancje związkowe za zaniedbania nad poprawą warun- ków pracy i bytu klasy robotniczej, i w tych, które zwracały uwagę na konieczność walki o jakość i oszczę- dność, o obniżkę kosztów, o popu- laryzowanie przodujących metod pra- cy i pomysłów racjonalizatorskich, o podnoszenie wykształcenia ogólnego i kwalifikacji zawodowych ro- botników, i w tych wreszcie, które mówiły o sprawach wzrostu produk- cji i wydajności pracy. Przemawia- jącym chodziło bowiem o to, aby ludzie otrzymali więcej i wyższą ja- kości artykułów, aby żyli i praco- wali w coraz bardziej kulturalnych warunkach.

Zadania naszych związków zawo- dowych wzrosła zatem po III Kon- gresie bardzo poważnie. Zwiększy- się również zakres ich pracy. Rząd i Partia przekazują organizacjom związkowym sprawy o doniosłym

znaczeniu: inspekcję pracy, ubez- pieczenia społeczne, rozjemstwo spo- rów między pracownikami a admi- nistracją, szerokie uprawnienia w dziedzinie kontroli nad budowni- ctwem mieszkaniowym, socjalnym, kulturalnym.

W dyskusji i Apelu III Kongresu Związków Zawodowych nie pomi- nięto problematyki pracy organiza- cji związkowej na wyższych ucze- lniach, zwrócono uwagę na główne ogniwo tej pracy — umacnianie więzi nauki z praktyką. Obok pew- nych osiągnięć — jak np. w ruchu łączności miasta ze wsią — w dzie- dzinie tej jest jeszcze wiele poważ- nych braków, przede wszystkim zaś na tak ważnym odcinku więzi teo- rii z praktyką jakim jest współpraca pracowników naukowych z ra- cjonalizatorami. Mówił o tym prof. Witold Biernawski na Kongresie:

„Z wyjątkiem kilku ośrodków naukowych, które nie tylko nie p- stały w pracy, ale popęszyły ją organizacyjnie i treściowo, inne o- Źródło nie wykazują należytejszej dzia- łalności. Sądję, że podstawową przy- czyną tego stanu rzeczy jest per- feryjny, odległy stosunek organiza- cji związkowych do tych zagadnień. Współpraca pracowników nauki z racjonalizatorami, jako praca spo- łeczna, powinna rozwijać się w ra- mach organizacji związkowych wyż- szych uczelni.

Pragnąłbym zakończyć to prze- mówienie gorącym apelem wysto- sowanym do wszystkich pracow- ników naukowych w kraju, aby trak- towali działalność popularyzacyjną, współpracę z racjonalizatorami, z załogami zakładów produkcyjnych jako obowiązek społeczny i patrio- tyczny, aby umacniali w ten sposób więź teorii z praktyką i przyczynia- li się do zwiększenia wydajności, a w ten sposób do szybszego pod- niesienia dobrobytu mas pracują- cych”.

Apel ten dotyczy w całej rozciąg- łości oczywiście i nas, studentów!

Czekamy na Was!



PGR

Sterławki tonie w bieli kwitnących drzew. Zazieleniły się pagórkowate pola gospodarstwa rozłożonego wśród pięknych jezior mazurskich. Bocianie małżeństwo uwiło już gniazdo na spadzistym dachu stodoły. Pracownicy gospodarstwa cieszą się patrząc na pięknie wschodzące zboże, ale jednocześnie niepokoi ich myśl — jak to będzie w czasie żniw? W gospodarstwie pracowników jest mało, a pracy w żniwa tyle, że choćbyś pracował za pięciu, nie uprzątniesz zboża. Czekają więc na pomoc studentów.

Ale potrzeba roboczych rąk jest tylko jedną z wielu potrzeb PGR Sterławki. Na pola wielkiego, kilkusethektarowego gospodarstwa wyjadą latem maszyny: kombajny, żniwiarki, garściówki. Żeby te maszyny właściwie wykorzystać, ludzie, którzy je poprowadzą, muszą

dobrze znać swój zawód. A tymczasem kwalifikacje miejscowej kadry technicznej są niskie. Spodziewają się tedy pracownicy od studentów szkół technicznych instruktaży w dziedzinie obsługi i konserwacji maszyn.

Sterławscy chłopcy pamiętają do dziś pomoc okazaną im w ubiegłym roku przez brygadę żniwną z Uniwersytetu Warszawskiego. Chętnie też dzielą się swymi wrażeniami ze współpracą z młodzieżą akademicką.

— Z początku nie wierzyliśmy, że nam wiele pomogą. Do książki to pewnie się przykladają ale przy żniwach, kiedy dokuży im upał, nie wytrzymają.

Okazało się jednak co innego. Nie tylko dobrze pracowali, ale stać ich było na czyny bohaterskie. No bo jakże inaczej nazwać taki wypadek:

Była niedziela. W powietrzu zaduch okropny. Lada chwila nadej-

dzie burza, a w polu zboża moc. Zdawało się, że niemożliwością jest uratowanie żyta. „Przed burzą nie zbierzesz — po burzy połowy nie przywieziesz”. Zrozumiało to widocznie studenckie bractwo. Dwolili się w robocie, ale zboże zwieźli.

Brygada studencka pozostawiła po sobie dobrą pamięć i wśród młodzieży wiejskiej. Z jaką wdzięcznością i zadowoleniem opowiadają dziś młodzi sterławianie o żniwach wspólnie przeżytych ze studentami. Młodzi, wiadomo — lubią się bawić. A w Sterławkach oddalonych od miasta — panowała nuda. Studenci przywieźli ze sobą radość i wesele. Dzień pracy kończył się zawsze wspólną wieczerzą. A kiedy się już ubawiono i naspiewano do syta, młodzież wiejska opowiadała o swoim życiu, studenci znów dzielili się wspomnieniami z minionego roku akademickiego. I ci ze wsi coraz lepiej rozumieli, że ich wysiłek i wysiłek studentów na uczelni zmierzają do jednego celu — żeby w Polsce było więcej chleba, żeby szybciej zbudowano socjalizm. Serdeczna przyjaźń i wzajemne zaufanie rozdzieliły się w tym zespole z dnia na dzień. Niepostrzeżenie młodzi żyli się ze sobą, stali się przyjaciółmi.

Młody pracownik naszego PGR — Jan Kopeć z zadowoleniem wspomina studentów pedagogiki z Uniwersytetu Warszawskiego.

— Byli tu u nas w zeszłym roku przez całe dwa tygodnie. Bardzośmy ich lubili i cenili za to, że przyjechali do nas z pomocą z własnej ochoty. I dobrze pomagali, nie tylko w układaniu kopiek, ale i po pracy — w życiu. Często wspominaliśmy te nasze wspólne „posiedzenia”, wieczorne wycieczki nad jeziora i wyprawy do sadów na jabłka. Powiedzieć im. Czekamy na nich i w tym roku.

Kiedy odjeżdżaliśmy ze Sterławek, Kopeć długo i mocno nalegał — przekazać gorące pozdrowienia swoim kolegom z brygady żniwnej — studentom z wydziału pedagogiki.

H. STASIKOWSKI

Do Szczecina dotarł apel

W kiosku przy ulicy Skorskiego, przed gmachem Szkoły Inżynierskiej w Szczecinie, już po kilku godzinach wykupiono wszystkie egzemplarze osiemnastego numeru POPROSTU.

Przy stołach i przy oknach grupkami, bardzo uważnie, zdanie po zdaniu wertowano trzecią stronę pisma.

„Do studentów wydziałów chemii, mechanicznego...”

Z gorącą troską zwrócili się do nich robotnicy i inżynierowie Kędzierzyna. Zwróciły się Partia i ZMP.

I nagle, wyraźnie jak chyba nigdy dotąd, stanęła przed nimi perspektywa przyszłej pracy — przecież już niedługo na naszych barkach oprze partia kierownictwo przemysłem — ciekawym i pięknym przemysłem chemicznym.

Kiepsko było na drugim roku chemii z wynikami sesji zimowej. Egzamin z chemii organicznej jest trudny. Może nawet nie tyle trudny, ile zrobiła go takim panikarska w tym okresie atmosfera na roku. Postarano się o przesunięcie egzaminów na koniec okresu sesji. Wyniki — około 50 proc. ocen niedostatecznych.

Wtedy dopiero organizacja ZMP uderzyła na alarm. Do sesji pośpiechu trzeba było na gwałt nadrobić braki. Trzeba przyznać, że studenci - przodownicy nauki cały swój wolny czas przeznaczyli

na pomoc słabym. Wyniki sesji poprawkowej wypadły zadziwiająco dobrze.

Pożar ugaszono a ZMP-owcy po tym przykrym doświadczeniu wysłali wnioski — musimy uczyć się na bieżąco, żeby nigdy więcej nie było podobnej sytuacji.

Utworzono tzw. „trójki” studenckie, których celem stała się bieżąca kontrola indywidualnie przyswajanych wiadomości.

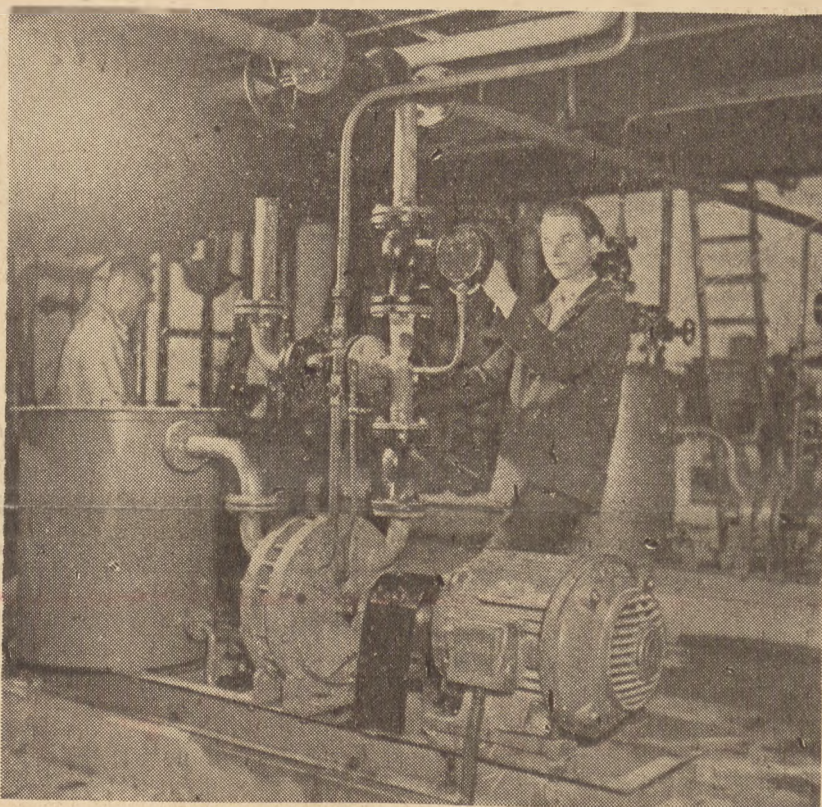
Zwrócono się o pomoc do opiekunów grup.

Właśnie gdy w grupach odbywały się narady wytwórcze poświęcone jak najlepszemu przygotowaniu się do sesji letniej — ukazał się w POPROSTU apel załogi Kędzierzyna.

Studenci II roku chemii szczecińskiej SI nie czekali na instrukcję „z góry” w sprawie apelu. Na przerwach między wykładami i wieczorem w osiedlu studenckim rozwinęły się dyskusje na temat listu.

Jak ustosunkowali się do apelu towarzyszy z produkcji, wyraził to chyba najlepiej kol. Szota na naradzie produkcyjnej całego kursu, która odbyła się w sobotę 8 maja.

— Ogarnia nas uczucie wstydu za niektórych naszych kolegów absolwentów — powiedział — że kompromitują w produkcji dobre imię nowego, ludowego inżyniera. — My będziemy inaczej pracować — do tego sprowadzały się dalsze wypowiedzi. — Zasłużymy na miano socjalistycznego fachowca — inżyniera społecznika.



Praktyki już blisko. Trzeba się do nich dobrze przygotować, aby ten pierwszy sprawdzian naszych wiadomości teoretycznych wypadł na „piątkę”. A zadania nie będą łatwe — obsługa skomplikowanych urządzeń, jakie widzimy na zdjęciu z ZPA w Kędzierzynie — to nie taka prosta sprawa.

Towarzysze Studenti!

W okresie tegorocznych żniw przyjdziecie do PGR z tradycyjną pomocą dla wsi. Słyszeliśmy już o przygotowaniach do tej akcji. Żeby Wam pomóc w tych przygotowaniach, żeby praca studentów na wsi była jeszcze bardziej owocna, powiemy, czego nasz PGR oczekuje od tegorocznych brygad żniwnych.

Wicie już z obrad II Zjazdu Partii o tym, jak ważne zadania produkcyjne mają wykonać PGR w okresie 2 ostatnich lat planu sześciolletniego. Podstawowa produkcja rolna — produkcja zbóż, ma być większa o 150 tys. ton. A Wy przyjeżdżacie właśnie w okresie zbiorów zbóż pomóc nam w walce o chleb. W naszym gospodarstwie, niestety, jest jeszcze wiele niedociągnięć. Wierzymy, że swymi wynikami w pracy, swoją działalnością społeczną na wsi nie tylko nam wiele pomożecie w usunięciu braków, ale i sami przy tym dużo się nauczycie.

W PGR Sterławki pracują słabo wykwalifikowani traktorzyści i mechanicy. Nie potrafią więc należycie wykorzystać maszyn. A sprzę-

tu technicznego w okresie żniw, kombajnów, garściówek, żniwiarek itp. będzie u nas wiele. Oczekujemy więc pomocy od studentów ze szkół technicznych. Spodziewamy się, że zorganizują dla naszej kadry technicznej kursy zawodowe. Za taką pomoc będziemy im bardzo wdzięczni. Bardzo byśmy się cieszyli, gdyby w tym roku zawiąły do nas brygady — powiedzmy — kompleksowe, składające się ze studentów wydziałów zootechniki, agrotechniki, biologii, budowy maszyn rolniczych oraz pedagogiki itp. Pracownicy PGR oczekują ciekawych i wesołych imprez, występów studenckich zespołów artystycznych. Oczekujemy od Was pomyślności (której na pewno nie brak studentom) w rozpowszechnianiu wiedzy rolniczej, organizowaniu życia kulturalnego na wsi. Skoro chcecie wydatnie pomóc nam w dźwiganiu i przekształcaniu naszego rolnictwa w rolnictwo nowoczesne i kulturalne, musicie poznać istotę tego, co stanowi nowoczesność i kulturę produkcji rolniczej. Zachęcamy więc Was do jak

najlepszego opanowania na Waszych uczelniach tych dziedzin wiedzy.

PGR godnie chce przyjąć studentów w tym roku. W trosce o stworzenie Wam dobrych warunków myślimy już dziś o zorganizowaniu dla Was rozrywek. Piękna kraina jezior, wśród których leży nasze gospodarstwo, daje okazję do korzystania ze sportów wodnych. Przygotowujemy więc dla Was sprzęt kajakowy. Stworzy to Wam możliwość organizowania zawodów wioślarskich, wycieczek kajakowych po jeziorze. Pragniemy, abyście jak najlepiej wykorzystali okres letni, nie tylko na pracę, ale i na wypoczynek. Wierzymy, że studenci w tegorocznym turnusie wniosą cały swój zapał, wszystkie swe siły do walki o rozkwit naszego socjalistycznego rolnictwa.

Czekamy więc na Was niecierpliwie. A na razie życzymy Wam powodzenia w egzaminach.

WACŁAW RADUCHA
kierownik PGR Sterławki
woj. olsztyńskie

W pochmurny, listopadowy dzień roku 1946 do gabinetu dziekana Taszkienckiego Instytutu Włókienniczego wszedł interesant.

Wyjął z kieszeni zawinięte w celofan dokumenty i rozprostował je starannie bez słowa położył na stole.

Prośba o przyjęcie do Instytutu? — zdziwił się dziekan. — Wybaczcie, mój drogi, ale przecież jest już po pierwszym semestrze. Spóźnił się...

— To nie moja wina — odparł interesant. — Trzy dni temu zostałem zdemobilizowany z wojska. Docent jeszcze raz przejrzał poźółkę, przetarł na zgięciach papiery.

— Tak, macie maturę przodownika nauki. Ale niestety nic nie mogę zrobić.

Zdemobilizowany wyglądał na 23 — 24 lata. Jego opalona, ogorzała twarz ze znajomym upór podbródkiem i szare, stanowcze oczy spodobały się dziekanowi.

— Zresztą spróbujcie pomówić z dyrektorem — poradził mu ciepło. Dyrektor Instytutu wysłuchawszy gorącej prośby niedawnego żołnierza ze współczuciem wzruszył ramionami:

— Bardzo mi przykro, ale nie mogę naruszać przepisów.

— Trudno — spokojnie powiedział zdemobilizowany i usiadł. — Nie opuszczę waszego gabinetu dopóki się nie rozmyślicie.

— Jesteście piechurami? — zapytał nieoczekiwanie dyrektor. Obrzymawszy odpowiedzi twierdzącą, uśmiechnął się. — Prowadzicie natarcie dokładnie w myśl wskazań sztuki wojennej. Jeśli taki sam upór przykazacie w nauce...

— Przekonacie się!

—

Po dwóch miesiącach dyrektor w rozmowie z dziekanem zapytał: — A propos, jak się sprawuje nasz wojak?

— Egzaminuj, wyobraźcie sobie, zdał na celującego. A wczoraj zakończył wszystkie rysunki za pierw-

szy semestr. Pierwszorzeczniacy wbrali go starostą grupy.

— Kiedys, w czasie krótkiego postanku, lejtnant Wasilczenko postanowił napisać list do domu. Wyrwał z uczniowskiego zeszytu pokratkowaną kartkę, położył na pianke — i zadumał się. Przecież niedawno jeszcze w takim samym zeszyście zapisywał zadania i wzory chemiczne... Kiedyś nadejdą znowu te piękne czasy?

I im bardziej przybliżało się zwycięstwo, tym częściej myślał o przyszłości — jaki zawód wybrać, na jaką uczelnię wstąpić?

Po demobilizacji nawet przez tydzień nie usiadł w domu — stęsknił się za nauką. Na platformie towarowego pociągu Wasył przyjechał do Taszkientu i wstąpił do Instytutu Włókienniczego.

„Teraz trzymaj się!” — powiedział sobie i wsunął do kieszeni studencką legitymację. Podczas ferii zimowych oddał wszystkie rysunki za pierwszy semestr. Obłożył się podręcznikami. Od świtu do późnej nocy nie rozstawał się z książką.

„To nic, wytrwam!” — myślał z uporem, gdy ogarniało go zmęczenie. — „Na froncie trudniej bywało!”

Zdawać kolokwia przychodził zawsze pierwszy i odpowiadał doskonale, zadziwiając wykładowców zakresem swych wiadomości.

Dziekan wydziału technologicznego, docent Efros, rumiany i rześki staruszek o siwych brwiach, promując go na następny rok z szacunkiem potrząsnął mu dłoń:

— Waszym powołaniem powinna być nauka. Wierzcie mi chłopcze,

ja znam się na ludziach. Jesienią zorganizujemy studenckie towarzystwo naukowe, musicie koniecznie do niego wstąpić!

W towarzystwie naukowym Wasył przeprowadził trzy prace badawcze, za dwie z nich otrzymał premie pieniężne, za trzecią dyplom honorowy KC Komсомола.

Jeszcze na czwartym roku zaczął pracować nad projektem pracy dyplomowej. W Taszkientie planowano budowę nowej fabryki tkackiej — technologiczną część projektu poświęcił na temat dyplomu.

Wasył obronił projekt w klubie fabryki, jego słuchaczami byli inżynierowie, technicy i tkaczki. Rada naukowa, wręczając mu dyplom, rekomendowała go na aspiranturę

I oto nastąpił wreszcie dzień, o którym Wasył tak długo marzył — po raz pierwszy otwierał drzwi tkackiego laboratorium naukowo-badawczego. Skomplikowane przybory, nieznanne maszyny, cisza dokoła... Świat nauki — oto on! Wasyłowi aż dech zaparło...

W niewielkim pokoiku internatu mieszkali we trzech. Wasył zapoznał się z kolegami - aspirantami, wyciągnął podręczniki z walizki i od razu pobiegł do biblioteki.

Rozpoczął się praca nad dysertacją. Wasył zainteresował się mało zbadanym, skomplikowanym tematem.

W czasie pracy warsztatu tkackiego nitki przedziły naciągając się do granic wytrzymałości. Ale z jaką siłą! Każda tkanina po swojemu reaguje na to naciężenie, Ale

jak? Aby wyprodukować doskonałe maszyny konstruktorzy powinni posiadać nieodzowne dane do obliczeń. Ale dotychczas nie ma takich danych...

Metodykę przyszłych doświadczeń trzeba było zmieniać trzy razy. Wiele było też innych kłopotów i przeszkód, najczęściej nieoczekiwanych. Na przykład Wasył długo nie mógł zdobyć specjalnie czułego papieru dla przyrządu badawczego — oscylatora (na tym papierze przyrząd automatycznie zapisywał moc natężenia nici). Należało przygotować w warsztacie skomplikowane aparaty doświadczenia — brak było potrzebnych części...

Nieraz przyszło jeździć samemu do fabryk, przedsiębiorstw, magazynów — szukać, przekonywać, a

czasami i żądać... W końcu trzeba było wziąć się za mechanikę teoretyczną. Wasył od razu zrozumiał, że jego wiadomości w tej dziedzinie są niewystarczające. Wtedy powtórzył od początku cały kurs Instytutu, przestudiował mnóstwo prac specjalnych i dopiero po tym mógł przystąpić do doświadczeń.

W pierwszym okresie próby nie udawały się. Przyrząd mierniczy, nie wiadomo czemu, zawodził. Doświadczenia dawały dziwne, niewłaściwe dane...

Kiedys Wasył po powrocie do domu powiedział do kolegi:

— Czuję, że to zadanie nie na moje siły. Nic mi nie wychodzi.

— To wybierz inny temat — poradził przyjaciel.

Oczy Wasyła zaiskrzyły się:

— Wycofać się ze wstydem? A kto rozprasza ten temat? Nie! Nie wolno wycofać się tchórzliwie!

I znow, jak kiedyś, Wasył powiedział sobie: „Trzymaj się!”. Od rana do nocy nie opuszczał laboratorium. Zdarzało się, że nawet obiad ze stołowi przynosił mu koleży.

W niedzielę Wasył przypinał narty i brodził po Leninowskich Wzgórzach wspólnie ze swą znajomą, komsoirmi na wydziale. Rozmawiali przede wszystkim o różnych sprawach uczelni i organizacji. Ale bywało, że jego towarzysza zamyślała się nagle, patrząc na niego badawczo, ze skrytym wyczekiwaniem... Kiedyś umówili się, ale Wasył nie przyszedł — tego dnia po raz pierwszy udało mu się doświadczenie i nie mógł oderwać się od przyrządów.

— Gniewasz się? — zapytał ze skruszoną miną, kiedy się spotkali nazajutrz.

— Nie — odpowiedziała cicho. — Trudno... Oczywiście, że mi przykro... Ale postaram się przyzwyczaić.

Kiedy już byli małżeństwem, powiedziała kiedyś z żalem:

— Ja chyba zawsze będę zazdrosna o twoją naukę. Ale postaram się nie okazywać ci tego...

„Upiwały dni. Doświadczenia były już zakończone, wnioski przygotowane. Wasył pracował nad teoretyczną częścią dysertacji. Jego pracę uważnie śledziła rada naukowa: temat dysertacji był taki, że wyniki badań można będzie natychmiast zastosować w przemyśle. Praca nie była jeszcze gotowa, ale już jakimś nieznanymi drogami, dowiedzieli się o niej inżynierowie klimowskiej fabryki budowy maszyn. Niedawno przyjechali oni całą grupą dowiedzieć się, kiedy Wasył ogłosi wyniki swych badań.

Ale w nauce nie wolno się spieszyć. W nauce „nie ma szerokich dróg i tylko ten może osiągnąć jej wspaniałe wyżyny, kto nie bojąc się zmęczenia, wspina się po „jej kamienistych ścieżkach!”. Te przepiękne słowa Karola Marksa zapisał Wasył w swym notatniku jeszcze wtedy, kiedy dowodził plutonem,

To nie są tylko puste słowa. Znajdują one pokrycie w czynie. Studenci II roku chemii dali na naradzie szereg bardzo konkretnych wniosków w sprawie maksymalnego wykorzystania możliwości, które daje im uczelnia i praktyki w zakładach pracy.

Na przykład kolega Stachowicz wskazał na fakt, że opiekunowie grup praktykanckich — inżynierowie pracujący w danych zakładach, mają zbyt mało czasu, by na każdym kroku zapoznawać studentów z aparaturą i cyklem produkcyjnym. W związku z tym wysunął wniosek, aby uczelnia przydzieliła dla większych grup praktykanckich swoich asystentów, którzy umożliwiliby wykorzystanie do maksimum okresu praktyk.

Kol. Wojtasik opierając się o cytaty z kędzierzyńskiego apelu, mówił o nieprzygotowaniu absolwentów do rozruchu zakładów i o nieznanym przez nich najnowszym metod produkcji, zaproponował, by tymi sprawami zajęły się koła naukowe na uczelni.

Bardzo gruntownie omówiono poruszoną w liście Kędzierzyna sprawę wychowania inżyniera społecznika. Kol. Szota wskazał na fakt, że do wszelkich prac społecznych, jak wyjazdy do PGR czy praca w komisjach cennikowych, wysyła się wciąż tych samych „zełaznych” aktywistów, natomiast brak troski o zaktywizowanie każdego studenta — choć przecież każdy z nich pójdzie do pracy z ludźmi w produkcji; Zaproponował zacieśnienie istniejącej już współpracy z Gazownią Szczecińską i jak najczęstsze spotkania z towarzyszami - robotnikami.

Kol. Joffe zwrócił uwagę na jak najbardziej twórcze opanowanie marksizmu - leninizmu i zobowiązał się zdać ten podstawowy przedmiot co najmniej z wynikiem dobrym.

Końcowym akordem narady był projekt kol. Sadłowskiego. Zaproponował on wysłanie do załogi Kędzierzyna — listu, który powie towarzyszym z produkcji, w jaki sposób zareagowali szczecińscy studenci II roku chemii na ich gorący apel, listu z zapewnieniem, że studenci szczecińskiej SI wszystkie swe siły poświęcą, by zasłużyć na miano nowego inżyniera — socjalistycznego oficera produkcji, kierownika i wychowawcy.

T. JASZCZYK

A co wy na to?

List od zetempowców „Ursusa”... List dyrektora POM z Daszyna. List z Kędzierzyna... prawie każdy numer POPROSTU szedł z ręki do ręki głośno komentowany. Nie brakowało głosów krytycznych pod adresem własnej uczelni.

— Jacy będziemy my, absolwenci Politechniki Łódzkiej? — zastanawiał się niedleden.

— Jaki będę ja? Taki jak Różański z Daszyna, czy taki jak Grodecki? Sprawa jasna, ale czy jestem przygotowany, czy nie załamie się wobec trudności?

Dyskusje toczyły się w małych grupkach. Potem przycichły. Pytania — jak jest w naszej uczelni? Jacy ludzie wyjdą od nas? — nie doczekały się odpowiedzi. Zapytajmy się, co o tym sądzi przewodniczący ZD ZMP.

— Czy ludzi interesują problemy poruszone w POPROSTU?

— Tak. Nawet bardzo. Słusznie poruszono te problemy.

— Co w związku z tym robi organizacja ZMP-owska.

— ?

— Czy nie uważacie, że dobrze byłoby plany pracy uzgodnić z tym co narzuca życie?

— Tak. Tylko potrzebna byłaby znowu masówka... zebranie...

— Rozumiemy was dobrze, że to się może zdziwić, ale przecież jednak masówka i zebranie to nie jedyna forma pracy ZMP.

— Tak. Trzeba będzie o tym pomyśleć.

Pozostawiliśmy zarząd w stanie zastanawiania się nad problemami życia, które nie mieszczą się w ramowym planie pracy. No cóż, może życie zwolni tempo, a może ZD ZMP Politechniki Łódzkiej przyspieszy kroku.

R. W.

Kartka z dziennika

(23.—29.IV)

W Oborach pod Warszawą odbyła się niedawno doroczna Narada Młodych Pisarzy. Spotkanie to, zwołane z inicjatywy Komisji Młodzieżowej ZG Związku Literatów Polskich, zgromadziło ponad 40 młodych autorów „Almanachu”, który wkrótce ukaże się na półkach księgarskich.

Narada oborska była właściwie seminarium na temat utworów almanachowych.

Zostawiliśmy za sobą Warszawę migoczącą tysiącami światel jak rozgwieżdżone niebo. Przed nami jasniał nikiel pas wilanowskiej szosy, a w dalszej perspektywie — sześć dni seminarium w Oborach.

Każdy z nas miał przy sobie pokazną książkę: próbny (przed korektą) egzemplarz „Almanachu Młodych”. „Jest to — jak pisze w przedmowie Igor Newerly — zbiór rzeczy świeżych jeszcze młodzień-
czych.

Czy księga debiutów?

Niezupełnie. Prawie wszyscy już się drukowali, drukują, niektórzy są w przededniu wydań książkowych. Nie tyle księga debiutów, ile przegląd prób, możliwości, nadziei.

Przegląd dość szeroki, skoro jest ich tu czterdziestu sześciu: poetów — 25, prozaików — 18 i satyryków — 3.

Jesteśmy niemal wszyscy w tym autokarze jadącym od Warszawy przez mazowiecką równinę. Ten wysoki dryblas o nerwowej twarzy — to Marek Hlasko, autor „Bazy Sokołowskiej”, a mężczyzna z fajką jest Piotrem Guzym — „ojcem” „Nocej zmiany”...

Poznajac się ze sobą porównujemy przepiętaną nowelę lub wiersz z człowiekiem, któremu właśnie podajemy rękę (czy ten człowiek wygląda na autora?).

II

Jest to jedno z tych spotkań, na które czeka się niecierpliwie, bo jakże się nie cieszyć z poznania ludzi, próbujących sił w tej samej dziedzinie pracy — tak czy owak bez względu na rezultat — trudnej bezzimnie, a żmudnej i radosnej zarazem.

Coroczne narady najmłodszych pisarzy mają swą wieloletnią tradycję. Niedgdy spotykali się tak — Wiktor Woroszyński, Andrzej Braun i pisarz, którego śmierć wyrwała później z walczących szeregów — Tadeusz Borowski. W rok czy dwa potem było to już „pokolenie” Mandaliana, Gaworskiego, Litwiniuka.

Jesteśmy — autorzy „Almanachu” — najmłodsza aktualnie grupa, której z opieką i pomocą przychodzi Związek Literatów. Łączą tę grupę, jak się już wyżej rzekło, wspólne ambicje, wspólna „wola pisania” — a zatem wola niesienia bezpośredniej pomocy frontowi naszej walki i więcej: chcielibyśmy „ocalać od zapomnienia” rzeczywistość, w której żyjemy...

Zjechaliśmy się do Obór radzić nad tym, jak cele nasze najsukuteczniej osiągnąć. Aby proza, którą piszemy, była bliska i pomocna rówieśnikom i nie tylko rówieśnikom. Aby wiersz, każdy wiersz był jak tętno w żywym organizmie budowanej Ojczyzny.

Czy jesteśmy w ogóle zdolni do działalności pisarskiej? Zaczęło się więc od sprawy talentu i na ten temat Igor Newerly miał otwierającą obrady prelekcję. Próbował usystematyzować składniki tego, co nazywamy „talentem”, określić treść pojęcia. Wysłuchaliśmy przy tym świetnej, mądrej prozy. Mimo woli szukam u siebie — co mam: wyobraźnię, łatwość wnioskowania?...

Uderza mnie i napawa niejakim optymizmem przewodnia myśl prelekcji: że u różnych pisarzy w różnym stopniu nateżenia występują poszczególne składniki talentu — można wcale nie być gorszym nie mając wszystkiego naraz. To pociesza.

No cóż — pewnie. że w każdym wierszu, w każdej prozie — z tych almanachowych choćby — jest „iskra”, są zdolności. Mniejsze — większe, ale są.

Teraz wszystko się dopiero zaczyna: Jakie masz, bracie, doświadczenie życiowe, jaką wiedzę, światopogląd, jaką lekturę, jaki „poziom zawodowy”: skalę barw, tonów, słowem — środków artystycznych?...

No i wypłynęliśmy na szerokie wody szęściennowej — często chaotycznej, czasem burzliwej, a czasem beznamiętnej — oborskiej dyskusji.

Byli na naszej naradzie i serdecznie z nami rozmawiali: Jerzy Putrament, Wojciech Żukrowski, Mieczysław Jastrun, Jarosław Iwaszkiewicz. Było wielu innych — dojrzałych literatów, starszych i młodszych, a zawsze jednakoowo nam przyjaznych. Był przewodniczący ZG ZMP tow. Pilawka i sekretarz tow. Wagner.

Mówiło się na naszej naradzie o nowatorstwie w poezji, o kompozycji nowel, o budowie postaci powieściowych, o konieczności wyboru tematów, a w tematach — osób, zdarzeń, szczegółów. Ale w gruncie rzeczy mówiło się o jednym: jakich błędów, jakich wypaczeń w pracy pisarskiej trzeba się wystrzegać i wyzywać.

Jak pisać — o tym się nie mówiło. Bo są regulaminy w wojsku i recepty w medycynie. W sztuce — żadnych! I kiedy teraz — po Oborach — zabieram się do pisania, sprawia mi ono jak dawniej ogromną trudność. Ba! — większą... Bo jednak nie były te dyskusje bezowocne i bezpłodne. Wielu z nas uzmysłowiło, a niektórym przypomniały z nową mocą, jaka to niewymownie trudna rzecz — prawdziwa sztuka pisania. Sformułowaliśmy wachlarz kryteriów, z których pomocą ocenia się wiersz czy prozę.

Kiedy zaczynam pisać myśl zwykłe tylko o swoim temacie, o swoich bohaterach. Ale później, gdy rzecz jest gotowa, świadomość tych kryteriów wzmacnia mój krytycyzm wobec nowonarodzonego utworu. Każę poprawiać, kreślić, przekomponowywać, i — odkładać kuszącą datę przedwczesnego drukowania utworu. Ten zastrzyk teoretycznej wiedzy, jaki dostaliśmy w Oborach — z surowicy doświadczeń dorosłych twórców i naszych własnych polemik — jest bezspornym sukcesem narady oborskiej.

Inna sprawa, że za mało mówiliśmy o samym życiu, o ludziach i zdarzeniach, poznanych przez każdego z nas...

III

Ten niedosyt nie był zresztą zbyt głęboki, ponieważ narada oborska toczyła się nie tylko w godzinach „oficjalnych” — od 10 do 19 z przerwą obiadową...

Oto podchodzi Stanuch, student dziennikarki z Krakowa, i zaprasza do swego pokoju, aby posłuchać jego nowych wierszy. Zbiera się nas kilku i — kładziemy się spać nie wcześniej niż o 2, 3 w nocy... Wiersze Stanucha, a później wiersze Harasymowicza, a później rozdziały książki Guzowego odsłaniają nową, pełniejszą „twarz” autorów. I jednocześnie — wylaniają się poprzez utwory — ludzie, konflikty, uczucia, dążenia różnorodnych środowisk.

Okazuje się nade wszystko, że w większości wypadków zostawiliśmy daleko w tyle własne utwory zamieszczone w „Almanachu”. A pisanie przed rokiem czy wcześniej. Bernstein nie przypuszczał się do tkwiących tam wierszy, Hlasko do „Bazy Sokołowskiej”, Guzy do „Nocej zmiany”, ja do „Przyjaciół”.

Brzmiały w nowych utworach nowe tematy, nowe tony, ujęcia — dojrzałe i pełniejsze. I przy tych ze-
tknięciach z cudzymi talentami rosną, potężnieją i regenerują się własne ambicje. Oto drugi plus narady.

IV

Powiadam, żeśmy zrobili krok naprzód. Ale przy tym, jakże daleko jeszcze jesteśmy od małych choćby, lecz istotnych sukcesów. Chciałoby się pisać i drukować takie wiersze, których czytelnicy uczyliby się na pamięć — z własnej ochoty. Taką prozę, która by była przyczyną gwałtowniejszego bicia serca, która by prowokowała do żarliwych dyskusji.

To przerażające — jak jeszcze jesteśmy daleko. Cóż — „cierpliwość jest podstawową cnotą pisarza”.

Trzeba przyznać, że atmosfera narady w Oborach i w ogóle atmosfery ostatnich dyskusji sprzyja, jak nigdy dotąd, szybszemu naszemu wzrostowi.

Wbijają nam bowiem w oporne nieraz leptyny, że tematem wszystkich co napiszemy ma być CZŁOWIEK, a zasadą najzasadniejszą — PRAWDA O ŻYCIU. Więc będzie coraz mniej lakiernictwa, fałszu, pustego wychwalania i coraz mniej redaktorów, którzy by do tego młode, niewprawne i chwiejne pióra nakłaniali. Ci „nakłaniacze”, to nie jest oczywiście czynnik o twórczości decydujący, ale ich zanik na pewno pomoże naprostować wiele błędnych ścieżek.

Pomoże i to, że jesteśmy dość zwartym kolektywem i żeśmy się wzajemnie podczas oborskiego spotkania poznali.

Klub na Bystrzyckiej

Najpierw był spokój i... nuda. Każdego ranka tramwaje wiozły do miasta studentów, którzy wracali wieczorem tą samą drogą, klnąc, jeżeli było błoto. Nawet gdy była to wczesna godzina, dzień należało uważać za skończony. Mało było chętnych na daleką eskapadę do teatru lub kina. Tym bardziej, że odległa dzielnica nie cieszyła się zbyt dobrą sławą — zwłaszcza wieczorem. Pozostawało więc tylko coś przeczytać no i spać, aby znowu następnego dnia...

Mniej więcej tyle można by było kiedyś napisać o życiu mieszkańców studenckiego osiedla na Bystrzyckiej. Wyrosło ono bardzo szybko. Jeszcze nie sprzątnięto placu budowy i stawiano ostatnie bloki, gdy już zjawili się nowi mieszkańcy. Potem przybywało ich z każdym dniem. Po wykończeniu wszystkich bloków i zamieszkaniu ich przez około 3 tys. studentów prawie wszystkich uczelni Łodzi, sąsiedzi zaczęli się poznawać. Młodzi wnieśli w atmosferę dzielnicy coś nowego, coś co musiało zmienić jej charakter. Jednak długo nie zmieniło się nic. Studenci wyjeżdżali rano, wracali spać. Starzy mieszkańcy dzielnicy śledzili nieufnie nowych — wiadomo, studentów owocem lubią, a ogrodów wokół nie brak.

A tymczasem studenci w ogóle nie dostrzegali starej dzielnicy, dla nich istniało tylko osiedle, a to co się działo poza nim, było im najzupełniej obojętne.

Trudno ustalić, czy już wtedy sąsiedzi osiedla łączyli z nimi jakieś nadzieje, sądzić jednak należy, że niejednym wzdychał w niedzielę — „zrobiliby co ciekawego”. I niedziela mijała. Tylko świetlica przy Hotelu Robotniczym dudniła do późna, potem i tam cichło, gdy milicja odprawiała najbardziej zapalczywych na komisariat. Reszta włączyła się pijana po cichych



Tak wygląda „kajak”...

ulicach. Szczęśliwi byli ci, którzy nie musieli późno wracać do domu

„KAJAK”

Nazwa powstała nie wiadomo kiedy i skąd. Dlaczego właśnie „kajak”? Był to długi murywany barak, który znalazł się w bezpośrednim sąsiedztwie osiedla i oddzielał je od kompleksu podobnych baraków stanowiących Hotel Robotniczy Łódzkiego Zjednoczenia Budowlanego. Nazwę swą zawdzięczał chyba długiemu kształtowi i może chwiejnemu i wywrotnemu samopoczuciu ludzi, którzy go odwiedzali. Ale to nie jest zbyt ważne.

Istotne było to, że w baraku mieściła się świetlica, która o swym istnieniu co jakiś czas dawała znać chuligańskimi awanturami. Nie cieszyła się dobrą sławą ani u starych, ani u nowych mieszkańców



...a tak wygląda świetlica VII DS, w której również odbywa się wiele ciekawych imprez.

dzielnicy. Wreszcie któregoś dnia została zamknięta i to na długo. Widocznie inicjatorzy doszli do wniosku, że jednak nie wolno im stosować rzymskiej zasady „Pecunia non olet”. Tym bardziej, że atmosfera wokół tej świetlicy zaczęła być niepokojąca. Wybrano więc najprostszą drogę — zamknąć.

„KARIERA ZWYKŁEGO BARAKU”

Kilka miesięcy, które minęły od pamiętnego dnia zamknięcia „świetlicy”, nie przyniosły nic nowego, ani ciekawego. W osiedlu studenckim zaczęto robić próby ożywienia życia. W małych świetlicach DS urządzano małe imprezy. Osiedle żyło małym, ale własnym życiem.

Zaczęto oglądać się za większą salą. I wtedy przypomniano sobie „kajak”. Stał przecież pusty, nie się tam nie działo.

Delegacja, która udała się do dyrektora Zjednoczenia w celu kupienia baru przez KO ZSP, wróciła z niczym.

— Nie sprzedamy — oświadczył im dyr. Czarniecki — Słusznie mówicie, że stoi pusty, ale zróbcie tak, aby nie był pusty, aby przychodził tam student i robotnicy z hotelu...

Rozmowa stała się podstawą do długich dyskusji, aż wreszcie została skonkretyzowana umową, w której czytamy:

pkt. 1. Rada Zakładowa LPZB celem właściwego rozwoju życia kulturalnego wśród robotników i zacieśnienia więzi z przyszłymi kadrami inteligencji techniczno-naukowej nawiązała współpracę na odcinku świetlicowym z Komisją Okręgową ZSP.

3 marca br. odbyło się pierwsze wspólne zebranie delegatów Hotelu Robotniczego i Rad Mieszkańców DS, a 28 marca odbyło się uroczyste otwarcie KLUBU MŁODZIEŻOWEGO,

Trudno byłoby pisać o wszystkich imprezach, które od tego czasu odbyły się w Klubie. Zresztą nie o to chodzi. Odkryło się ich wiele, a gdy przed którąś z sobót lub niedziel nie wywieszano afisza, sąsiedzi zatrzymywali studentów — „Co będzie w niedzielę, nie?” W głosie brzmiało rozczarowanie. Potem do pracy włączył się Komitet Frontu Narodowego bloku 175, a potem na zapowiadane imprezy chciały przychodzić już cała dzielnica. W sali zabrakło miejsca.

Trzeba przyznać, że Zarząd Klubu, w skład którego weszli robotnicy z hotelu: Józef Bies, Jan Szczepański, Olszewski i studenci: Krystyna Supera i Stanisław Janczarek, pracowali bardzo ofiarnie. Nie mało pracy włożył również kol. Grzegorzcyk z KO ZSP.

Powstały sekcje: imprezowa, sportowa i chór. Powoli Klub Młodzieżowy stawał się coraz bardziej popularny. Część imprez urządzano w olbrzymiej świetlicy VII DS. Zaczęto wysuwać śmiało projekty. Trudności było wiele. Przede wszystkim trudno było znaleźć czas odpowiadający wszystkim. Jednak mimo to powoli zapominano o nieślawnych tradycjach „świetlicy” i o dawnych nieufnościach.

HISTORIA NIE MOŻE SIĘ POWTARZAĆ

Tyle opowiedziano mi na Bystrzyckiej. Siedzieliśmy w małym pokójku koło Biesa. Przez okno dobiegały dźwięki muzyki. W Klubie grała orkiestra, obok małej świetlicy hotelu zmieniano płyty adapteru. Sytuacja była trochę niejasna. Dwie zabawy obok siebie?

I tu zaczynają się znowu „historyczne” kłopoty. Rada Zakładowa LPZB wypożyczyła komuś Klub na dochodową zabawę. Przed wejściem banda łobuzerii, niektórzy już „pod muchą”. Kol. Bies z niepokojem wygląda przez okno. „Nasł odzwyczajili się od takich zabaw, wolimy już u siebie, choć ciasno. Wczoraj było podobnie, milicja zabierała kilka osób z Klubu...” Tutaj już nie trzeba komentarzy.

Trzeba jednak, aby Rada Zakładowa dała zarządowi Klubu więcej samodzielności w pracy. Zarząd powinien nie tylko wiedzieć, lecz i decydować o charakterze odbywających się tu imprez. Trzeba, aby bliżej i efektywniej zainteresowano się pracą Klubu.

Od dawna mówi się tu o remoncie, niestety, tylko mówi się. Do tego czasu nie została założona biblioteka — kilka tysięcy tomów czeka na uporządkowanie lokalu, potrzebny jest sprzęt... i wiele, wiele innych spraw, od których zależne jest, czy od września Klub na Bystrzyckiej stanie się długo oczekiwany, poważnym ogniskiem kulturalnym.

R. WIŚNIEWSKI

Majowy Festyn

Do pięknego daszyńskiego parku, rozbrzmiewającego muzyką i śpiewem schodzili się ludzie z okolicznych wsi, zajężdżali umajone samochody wiozące studentów Politechniki Łódzkiej. Wszyscy spieszyli na Festyn Ludowy. Festyn tak piękny, barwny, jakiego jeszcze w tej okolicy nie było.

Politechnika Łódzka kilka miesięcy temu nawiązała kontakt z POM w Daszynie. Systematycznie, co 2 tygodnie wyjeżdżała tu ekipa (składająca się ze studentów i pracowników naukowych), która przychodziła towarzyszyć z POM w wszechstronną pomoc. Oprócz pracy oświatowej nasze brygady wykonały dokumentację techniczną niektórych maszyn rolniczych, naprawiono słupek elektryczny, obecnie zaś przygotowujemy budowę łaźni, której brak dotkliwie daje się we znaki robotnikom POM.

Wspólnie z organizacją partyjną i dyrekcją POM postanowiliśmy urządzić zabawę. Piękna pogoda skłoniła nas do szybszej realizacji projektu. Wiele było z tym trudów, pracy i niepokojów. Zespoły artystyczne odbywały próby, by wystąpić przed wiejskimi widzami jak najpiękniej. Debatowano nad wyborem książek, sprzętem na zawody sportowe, obmyślano ciekawe rozrywki.

Całą imprezę przygotowano doskonale i wiele jest w tym zasługi kol. kol. Fuśnika i Skorma, którzy kierowali całością prac.

*

Rozpoczyna się Festyn. Pierwsze tony uczelnianej orkiestry zgromadziły wokół naszych zespołów wszystkich gości. Występy chóru, orkiestry i baletu spotkały się z wielkim uznaniem — oklaskom nie było końca. Wesołość budziła pomyślna konferansjerka kol. Płochowskiego — nawiązująca do wydarzeń i problemów POM, operująca nazwiskami przodowników i... bume-

lantów, nie brakło wśród nich kolegi Różańskiego znanego nam z POPROSTU.

Po występach — tańce przy dźwiękach wiejskiej kapeli. Po kilku oberkach początkowe skrepowanie zniknęło bez śladu, wszyscy bawiliśmy się doskonale. Wśród tańców i przyjacielskich pogawędek czas płynął szybko. Chłopi żalili się nam na brak rozrywek na wsi, serdecznie dziękowali za występy, gorąco zapraszali do siebie.

Zapadał zmierzch, a o odjeździe nikt nie chciał słuchać. I gdyby nie poniedziałkowe zajęcia, zabawa zakończyłaby się późno w nocy.

J. GRZEGORCZYK

Politechnika Łódzka



Dyżur przy kłosku z książkami ma kol. Dziąg — za chwilę przyjdą pierwsi kupujący.

Już za chwilę — odjazd do Daszyna na Festyn.



Foto: Zespół Fotograficzny PŁ

Inżynier Topolny



Działo się tak, ilekroć młodzieńca zafascynował jakiś problem.

Przemieniał się wtedy jak za dotknięciem różdżki czarodziejkiej. Podziały godzin i kartoteki pokrywały się kurzem, hasła obrastały pajęczyną, a on, który przedtem rumieniał się jak panienka przemawiając publicznie i pierwszy przepaszał, gdy mu w tramwaju nastąpiło na nogę, stawał się bezwzględny, ślepy i głuchy wobec otoczenia; nie cofał się przed niczym, gdy szło o zgłębienie pasjonującego go tematu, gotów był w środku nocy budzić telefonem znakomitych uczonych, kiedy przyszło mu do głowy jakieś pytanie, a pragnąc kupić dzieło, na które nie miał akurat pieniędzy, wyprzedawał co wpadło w rękę, garderobę, płaszcz, nie oszczędził nawet aparatu do golienia, który „pierwszy Topolny” otaczał pełną szacunku opieką w oczekiwanu upragnionej chwili, gdy poczną mu się sypać włosy.

Kiedy wielka namiętność wygasła, Topolny przeżywał okres gorzkiej wyrzutów sumienia, po czym odkurzał kartoteki, z pierwszej pensji odkupował aparat do golienia i z gorliwością nawróconego grzesznika wyciągał z zaniedbanych harmonogramów — aż do następnego „zaczarowania”.

Ostatnią jego pasją był napęd rakiet kosmicznych energią atomową przy użyciu pewnego pierwiastka, rozpadającego się asymetrycznie. Po pięciu miesiącach kopania się w książkach, po wielu bezsennych nocach i gorących dysputach z profesorami i kolegami, ogłosił w końcu Topolny w fachowym piśmie niewielką rozprawkę, w której udowodnił, że pomysł jego jest całkowicie nierealny.

Specjaliści, których praca ujęła ścisłością rozumowania i obszerną znajomością przedmiotu, przyjęli ją życzliwie, opinia zaś studentka, to krzywe zwierciadło życia uniwersyteckiego, zareagowała natychmiast we właściwy sobie sposób i Topolny awansował w niej na „największego negatywnego badacza epoki”, to jest odkrywca wszelkiego rodzaju absolutnych niemożliwości.

W tym pochmurnym i mglistym dniu sobotnim Topolny spieszył na konferencję naukową, jedną z tych, jakie profesor Siolno urządzał dla swoich współpracowników, dzieląc się z nimi najnowszymi wynikami badań, o jakich donosiła literatura fachowa całego świata.

Młodzieniec żył przykładowo już od szeregu miesięcy i chwilami sam był niemal z siebie zadowolony, co zdarzało mu się rzadko, jednak bliżsi koledzy, szczególnie zaś inny asystent Siolny, magister Czwartek, obserwowali wzorowe sprawowanie Topolnego ze skrytą podejrzliwością, do czego uprawniał ich jego dawniejsze metamorfozy.

Gdy Topolny wszedł do gabinetu Siolny, profesor zmywał właśnie gąbką ustawioną w kącie tablicę, gotując się do wykładu. Pokój urządzony był zarazem wygodnie i skromnie. Półki z książkami, biurko obciążone stosami czasopism i podręczne segregatory służyły pracy naukowej na równi z puszystym dywanem i głębokimi fotelami; na ścianach, pomiędzy wykresami pochłaniania neutronów, wisiały barwne reprodukcje obrazów Breugla i Cezanne’a. Ledwo Topolny znalazł wolne miejsce obok Czwartka i usiadł, Siolno zabrał głos.

Czwartek był przedmiotem cichej i starannie skrywanej zazdrości Topolnego. Najpierw, samym już wyglądem zdawał się zdradzać wysoką abstrakcyjność obranej dyscypliny naukowej. Bardzo wysoki, chudy, z opadającymi ramionami, na bladej nieruchomej twarzy nosił stalowe okulary. Ciemno-oki i ciemnowłosy ubierał się też czarno, przez co, jako specjalista od energetyki jądra atomowego, zaskarbił sobie u studentów przydomek „Jądrowego mnicha”. W przeciwieństwie do Topolnego, który stale grzał w rozmaitych spekulacjach i wątpliwościach, Czwartek wiedział wszystko z zupełną pewnością; talentem matematycznym górował nad Topolnym, który, ku swemu pohanie, nie raz, nieraz na ćwiczeniach mylił się w najprostszych działaniach i studentci musieli go poprawiać. Także pamięć miał w przeciwieństwie do Topolnego niezawodną; nie używał też żadnych terminarzy, harmonogramów ani wykresów, albowiem systematyczność samoodrodnie wynikała z jego charakteru. Czwartek lubił Topolnego i przyjaźnił się z nim, lecz traktował go z drobną domieszką pobłażliwości. Wszystkie różnice ich charakterów jak w soczewce skupiały się wyraziście w ich stosunku do fizyki.

Czwartek dobrze wiedział, czemu ja właśnie obrał za swą specjalność. Uważał ją za królową nauk, bo stanowiła najpotężniejsze ludzkie narzędzie wladania materialnym światem. Zarazem podciągał go ład jej wielkiej teorii, doskonałych przez swą precyzję. Każdy spór mógł tu być bezape-

Opowieść fantastyczna

lacyjnie rozstrzygnięty przez odwołanie się do ich krytycznych konstrukcji i doświadczenia. Zarazem była fizyka źródłem radości czysto intelektualnej, wynikającej ze swobodnego ogarniania umysłem wielkich zawiłych całości. Problemy jeszcze nierozwiązane były dlań jakby dziedziną ciemności w przeciwieństwie do światła prawd już odkrytych; był przekonany, że w przyszłości i ona ulegnie rozumowi, lecz ta kraina mroku nie stanowiła dla niego źródła żadnych wzruszeń; nie fascynowała go ani nie wydawała mu się tajemniczą. Nieznane, to było jeszcze niezbadane, nie więcej.

Stosunek Topolnego do fizyki najlepiej może dać się porównać do postawy nieustannie odrzucanego i niezużycie ponawianego dążenia nieszczęśliwie zakochanego. Wobec teorii istniejących pełen był podejrzliwości i niedowiarstwa; równocześnie odmalizowanie w nich miejsc stałych zamuszczał dawać satysfakcję odkrycia, zaś smucąc go, jak poznanie wad kogoś drogiego, problem zaś nieznan, jeśli go napotkał, wciągał go w siebie i wchłaniał z nieodpartą siłą, dostarczając tym intelektualnego wysiłku rozumowi, co cierpienia sercu.

Fizyka teoretyczna, to była jego sprawa prywatna i niezmierzona osobista, jak każda wielka miłość.



Nie mógł zakazać sobie myślenia o niej, jak niesposób usunąć z wyobraźni obrazu ukochanej; podczas kiedy Czwartek wiedział wszystko tak dobrze, jemu zdawało się czasem, że właściwie nie wie nic; czy nie było to podobne do nagłych zwątpień, jakie toczą czasem myśli zakochanego? Topolnemu śniły się równania, jak rzyś ukochanej twarzy, były chwile, kiedy po bezsennej nocy zginał w kule i rwał zapisane arkusze niby listy ze złymi wieściami, i chwile, w których zmęczony do ostateczności datemnymi prótami pochwycał i zrozumienia, raz jeszcze zbity ł tro-pu, oszukany, odrątkony, siedząc nad pokreślonymi kartkami, rnił na nie łyzy — nie łyzy dźwięka, lecz męczyny; o tym jednak nie wiedział nikt.

W dniu tym Siolno zwałszy był niż zwykle i jego temperament dobrego wykładowcy błyszczał w całej pełni. Opowiedziawszy o nowych wynikach Francuzów w dziedzinie badania promieni kosmicznych zakończył rzecz dowcipem i odczekawszy wybuch śmiechu obecnych, przysiadł się im z wyrazem twarzy równocześnie zafasowanym jakby i żłuternym. Potem odezwał się:

— Mam tu ostatni numer „Physical Review”, w którym jest nowa praca Thurstone’a i Wringa... Jak wiecie, pół roku temu Garrahad, Tombey i Seltz stworzyli w Berkeley pierwszy superciężki, nieistniejący na świecie pierwiastek, któremu nadali nazwę syntetium, po polsku syntetu. Thurstone i Wring zajęli się tym właśnie ciałem i doszli do rezultatów godnych uwagi... Jak stwierdzili ci badacze, z ogólnej teorii budowy jądra atomowego wynika, że gdyby udało się połączyć jądro atomu syntetium z jądrem

atomu węgla, powstałoby nieznan dotąd superciężki pierwiastek transuranowy o nowych, niezwykle doniosłych właściwościach. Ten hipotetyczny pierwiastek, który Wring nazywa steliarem, w zwykłych warunkach jest ciałem trwałym, nie promieniotwórczym, ani nie zdolnym do rozpadu. Natomiast podgrzany do temperatury stosunkowo niskiej, to jest do dwóch tysięcy stopni, zaczyna się rozpadać, wydzielając energię jądrową. Regulując dopływ ciepła, można by kierować tym procesem z nieznaną dotąd precyzją. Dość jest ochłodzić stellar poniżej 2000 stopni, którą badacze nazwali temperaturą krytyczną, a rozpad się zatrzyma, by rozpocząć się przy ponownym podgrzaniu. Trudno wyobrazić sobie, jakie znaczenie miałyby wytworzenie stellaru na skalę przemysłową. Koszt produkcji syntetu, pierwszego składnika wyjściowego, jest bardzo niski, węgla zaś posiadamy zapasy ogromne, gdyby więc udało się stworzyć z nich stellar, nastąpiłby całkowity przewrót: mielibyśmy pierwiastek zdolny zaspokajając energetyczne potrzeby kuli ziemskiej na nieograniczony przeciąg czasu. Promieniowanie, wydzielane przez rozpadający się stellar jest, jak wynika z teorii, stosunkowo mało szkodliwe biologicznie, więc silniki stellarowe znalazłyby najszersze zastosowanie, poczynając od statków oceanicznych i rakiet, a kończąc na maszynach

dra, potrzeba pocisków o największej energii, jakimi są cząstki, rozpadane w wielkich przyspieszaczach, takich jak nasz główny kosmotron. Jednakowoż tu właśnie wylania się paskudny szkopuł. Mianowicie ta niezbędna do przeościa wału szybkość, jaką trzeba nadać karbionowi, leży już w zakresie, dla którego jądra atomowe są, jak mówimy, „przezroczyste”. Cały obraz wygląda tak: jeżeli bombardujemy jądro syntetu karbionami nie dość szybkimi, to odszczą od niego jak groch od ściany, jeżeli natomiast rozpadzimy karbion do szybkości dostatecznej by przebił wał potencjału, to przestrzeli on całe jądro na wylot i wyleci z drugiej strony. Obliczenie wykazuje, że karbion przebijając jądro w czasie jednej kwadrylionowej części sekundy, to znaczy przebywając w nim tysiąc razy za krótko, żeby mogło nastąpić zespolenie obu jąder w jądro stellaru. Jak widzicie, albo nie otrzymujemy żadnego rezultatu albo rezultat jest, że się tak wyrażę, „za dobry”.

Mimo tak zniechęcającej prognozy, Thurstone i Wring podejmowali wielokrotnie próby syntezy stellaru klasycznym sposobem, jakiego używa się do syntezy jądrowych, mianowicie rozpadali karbiony do niezbędnej prędkości na drodze ich strumienia ustawiając cienką płytkę syntetu. Bawron, jakiego używali, pobiera przy pełnym obciążeniu 90 000 kilowatów mocy, dając strumień karbionów przyspieszonych do 16 miliardów elektronowoltów, jest więc nieco słabszy od naszego. Wyniki doświadczeń amerykańskich w całej pełni potwierdziły teoretyczne przypuszczenia: powolne karbiony wcale nie wnikały do jąder syntetu, a szybko przebijają je na wylot. Jak się wyraził Urey, próba syntezy stellaru przedstawia się tak, jakbyśmy usiłowali złapać kulę do szklanej flaszki, strzelając do niej z rewolweru.

— A czy nie można przeprowadzić syntezy inaczej? — spytał ktoś z kąta.

— Karbion składa się przecież z protonów i neutronów, można by więc wprowadzić go do jądra syntetu, że tak powiem „porcjami”, dodając stopniowo po jednej cząstce aż się utworzy stellar...

— Bardzo słuszna myśl! — zawołał Siolno. — Amerykanie też na nią wpadli. Niestety, już po czwartym z kolei wprowadzonym protonie całe jądro rozlatuje się na kawałki. Rzecz w tym, że pierwiastki przejściowe pomiędzy trwałym syntetem i trwałym steliarem są nietrwałe. Natura zmusza nas do stosowania dość dziwnych metod budownictwa: nie możemy kłaść cegły po cegle, ale niejako od razu całe piętra. Nie wiem, czy wyrażam się jasno? Chodzi o to, że synteza musi iść tylko po drodze „jądro węgla plus jądro syntetu” — postępowanie etapami nie jest możliwe, to da się zresztą łatwo wyka-

zać...

Siolno napisał kilka przekształceń, pukał kredą w tablicę i rzekł:

— Widzicie, jakie to proste. Amerykanie powiadają, że napotykały tutaj nie jakieś trudności przejściowe, techniczne, które pokona przyszłość, ale zasadniczą niemożliwość syntezy, dyktowaną nam przez prawa natury...

Kiedy Siolno skończył, posypały się pytania. Asystenci podchodzili do tablicy, wyrywali sobie kredę, kreśliли wzory i gorąco spierali się z profesorem; nareszcie, potrząsając głową, jeden po drugim wracał na miejsce, jakby mówiąc: „beznadziejne, nic nie da się zrobić”.

— Zresztą — zauważył aspirant Sikorka — gdyby był choć najbardziej cię nadziej, Amerykanie niczego by nie opublikowali. Wiadomo przecie, jaką potworną mają cenzurę! Uważam, że szkoda tracić na to czas, ale do licha, piekielnie szkoda!

Przez cały czas dyskusji Topolny nie opuścił swego fotela; nieruchomy, zgarbiony, z brodą wspartą na pięści, zapatrzył się ślepo przed siebie, a policzki, czoło, szyję wreszcie pokrywał mu coraz ciemniejszy rumieniec. Sikorka, przecho-

dząc obok niego, aż ręce podniósł:

— Patrzajcie — czysty preparat laboratoryjny!!

— Co, co się stało? — spytano z kilku stron naraz.

— Jak to nie widzicie? Ależ powiadam wam: oto dzieje się nowe „zaczarowanie Topolnego”! Chłp już jest stracony, daję głowę; „d tej chwili nie będzie od niego spokoju!!

*

Najbliższe tygodnie wykazały, jak przeraźliwą rolę miał Sikorka, wygłaszając swoje proroczo. Nowe zaczarowanie Topolnego okazało się groźniejsze od poprzednich. Zaraz po konferencji poprosił Siolno o pożyżnienie wszystkich publikacji, dotyczących syntetu i stellaru, porwał grubą ich pękiet i le-dwo dobiegłszy do domu, rzucił się nań, jak giniący z pragnienia na źródło. Studenti ogłosili z emfazą

że „największy odkrywca negatywny” pracą swoją postanowił na amen zakorkować syntezę stellaru i kiedy nadszedł listopad, a z nim urodziny Topolnego, wręczyli mu uroczyste ogromny, barwnie wymalowany dyplom odpowiedniej treści. Topolny śmiał się wraz z nimi, a po zabawie zasiadł do swych docieków.

Z początkiem grudnia, kiedy pierwszy śnieg cienką warstwą przyprószył park Instytutu, asystent zjawił się wieczorem u Siolny i zwracając pożyczone pisma, poprosił o pięć minut rozmowy, którą przeciągnęła się do późnej nocy.

— Pytacie mnie, czy warto zajmować się tą syntezą?... — rzekł gburliwie Siolno, podnosząc oczy na młodego człowieka. — Doskonale. A jeżeli wam powiem, że nie warto, czy rzucicie wszystko w diabła?

Topolny milczał przez chwilę, nareszcie popatrzał na profesora, uśmiechnął się nieśmiało i powiedział:

— Nie.

Siolno roześmiał się basem. Śmiał się długo. Nareszcie, odchrząknawszy, machinalnie przestawił przy-cisk na biurku i rzekł:

— No, więc po co się mnie właściwie pytaicie?

— Zależy mi na opinii profesora.

— Na mojej opinii? Hm, cóż warta moja opinia wobec wyroku Ureya, Wringa, Seltza i całej reszty? No, ale jeżeli chcecie koniecznie, proszę bardzo, powiem wam, co sądzę o tej historii.

Topolny naostrzył słuch.

— Sprawa — tubalnym głosem ciągnął profesor — wygląda kiepsko. Bardzo, bardzo kiepsko! Zapadł wyrok najznakomitszych autorytetów! Rzecz jest jasna jak kryształ: synteza stellaru jest niemożliwa.

Rozłożył szeroko ręce.

— Istnieje jednak pewne drobne, choć interesujące „ale”. Urey, Thurstone, czy Wring to wybitni fachowcy. Niewątpliwie. Bardzo u-talentowani. Nikt im tego nie odmówi. Powiadają, że synteza jest niemożliwa. No tak. Ale czy Heisenberg nie oświadczył swoim asystentom w czasie ostatniej wojny, że masowa synteza plutonu nie jest możliwa? A inżynierowie, którzy w XIX wieku uznali, iż nie będzie można zbudować cięższej od powietrza maszyny latającej, nie byliż to znamienici specjaliści? Najgorszą rzeczą w nauce jest zbyt wielka pewność siebie. Choćby i oparta o najsumienniejszą wiedzę, taka pewność bardzo łatwo przetrada się w dogmatyzm. Pięknie. Czy z tego jednak wynika, że synteza stellaru jest możliwa? Bynajmniej.

Topolny milczał, patrząc nieruchomo w perorującego z ożywianiem Siolno.

— Nie jestem ślepy. Widzę, jak pracujecie. Macie bardzo cenną rzecz: pasję. Tylko czy warto ją angażować w ten problem? Najlepszy nurek nie dosięgnie dna tam, gdzie go w ogóle nie ma. Więc, czy zgruntuujecie? Czy nie szkoda wysiłku? Jest jasne, że twierdzenie Thurstone’a i Wringa uzyskało milczącą aprobatę całej amerykańskiej komisji energii atomowej, a tam są tacy ludzie, jak Bethe, jak Fermi, jak Morrison. Tak tedy sprawa przedstawia się źle — jeszcze gorzej niż przed pięćdziesięciu laty, kiedy to lord Rutherford powiedział, że wyzwolenie energii atomowej w ciągu najbliższych wieków jest niemożliwe. No, a moja opinia? Moja opinia brzmi: nie wiem, czy możliwa jest synteza stellaru. Nie wiem, czy jest niemożliwa. Nic nie wiem. Zaspokoilem waszą ciekawość — i cóż powiecie?

Profesor zdziwił się, bo Topolny uśmiechał się nieznacznie ale takim zachwyceniu, jakby tuż przed oczami miał jakąś rzecz niezwykle piękną.

— Hola, cóż was tak bawi?!

Topolny drgnął. Ocknął się z zapa-trzenia. Spowaźniał.

— Myślałem o tym, co bym zrobił, gdyby mi ktoś tu, zaraz, chciał ofiarować rozwiązanie problemu — całą gotową receptę syntezy stellaru...

— I coś wymyślił?

— Nic niezwykłego — odparł Topolny i uśmiechnął się przepraszająco. — Nie przyjąłbym. Nie chciałbym takiego rozwiązania. Czy mi pan wierzy?

— Czy ja ci wierzę? — wybuchnął Siolno, wstając z fotela. — Czy ja ci wierzę! Idź już, idź do swoich atomów, pograż się w nich i uoi; oto przeklinam cię i skazuję na wieczne poszukiwania i tropienie, na wątpliwości i niekończące się rozmyślenia, i życzę ci, żebyś na tej drodze przewracał się, nabijał sobie guzy i wciąż wstawał, a przede wszystkim — żebyś znajdował jak najwięcej uznanych za nierozwiązalne problemów w nauce — i jak najmniej w życiu...

Dokończenie nastąpi

W Warszawie przed sesją

Czy wyniki będą dobre?

Zbliżająca się sesja podzielała na studentów warszawskiej AM, jak ciepły, halny wiatr na śnieg, leżący w górach: na salach wykładowych pustki jakby wymiotł. Docho- dzi do tego, że profesorowie uprzej- mymi głosami i zachęcającymi uś- miechami zapraszają spotkanych studentów na wykłady. Docent Ka- czynski chciałby np. dowiedzieć się od studentów III roku lekarskiego, co jest powodem, że od kilku ty- godni niemal nikt nie przychodzi na jego wykłady.

Opowiadano nam, że na IV roku lekarskim była taka grupa XII — która jako jedyna zjawiała się in- gremio na wykładzie z chorób za- kazyjnych. Ale po pewnym czasie zburzyła się: „Dlaczego — myśleli członkowie tej grupy — nasza obec- ność ma chronić kurs przed skan- dalem a inne grupy zwalniać od obowiązku wysłuchiwania wykład- dów?” Tak pomyślawszy i oni prze- stali być na wykładach.

Jest jeszcze wiele wykładów, na których liczba obecnych nie prze- kracza kilkunastu osób, a wśród tej szczupłej grupki ci, którzy naj- pilniej uważają... wykonują roboty na drutach (dotyczy to oczywiście koleżanek).

Warto więc uderzyć na alarm. Ale czy głos ten dojdzie do uszu studentów, a zwłaszcza aktywu? Na odbytej niedawno uczelnianej naradzie aktywu ZSP stwierdzono, że... sytuacji naprawić się nie da. Po- dobno nie ma siły, która by mogła ten stan zmienić.

A aktyw? Gdyby chciał zaradzić zlu, musiałby sam dać przykład i zapełnić sale wykładowe, ale sporo „aktywistów” nie ma na to naj- mniejszej ochoty. Przy cichej zgo- dzie ułożono więc, że wprawdzie tak jak jest — jest źle, ale być musi.

Zapomniano jednakże, że łamanie socjalistycznej dyscypliny studiów jest karane. Cóż więc robią komi- sje dyscyplinarne na warszawskiej AM? Kol. Bożena Różalska, orga- nizator IV roku stomatologii, zwi- rzyla się, że przez cały okres stu- diów nie zna faktu, by ktoś z ich roku był ukarany dyscyplinarnie (choć wypadków łamania dyscypli- ny studiów było, mówiąc ogólnie, немало).

Raz tylko zdarzył się szczegó- lny, świąteczny wprost dzień, w którym dziekan stomatologii zawa- zwał do siebie 20-osobową grupę studentów systematycznie opuszca- jących zajęcia WF. Odbyła się przy tym taka mniej więcej rozmowa:

Dziekan: — Opuszczacie zajęcia. Studenci zgodnym chórem: — Tak. Dziekan: — Dlaczego? Studenci: — Musimy się uczyć. Dziekan: — A, uczyć się... no to dobrze, uczyć się, uczyć.

Na tym rozmowę zakończono. Tak- im załatwieniem sprawy dziekan dał przyzwolenie na dalsze bezkar- ne łamanie dyscypliny studiów. Niektórzy starają się tłumaczyć, że studia medyczne są wyjątkowo przeciążone, i że przestrzeganie dy- scypliny jest tam wprost niemożli- wością. Przeczą jednak temu fakty znane z innych uczelni medycznych. Gdzie więc szukać źródeł tego „bez- królewia” i rozprzeżenia? Czy nie w niedopuszczalnie „tolerancyjnej” postawie władz uczelni i nader słab- ej pracy organizacji młodzieżowych na warszawskiej AM?

Mówi się tu dużo o tym, że bez dyscypliny studiów łatwiej przygo- towywać się do egzaminów. Ale czy tak zdobyta „piątka” decyduje o umiejętnościach posiadacza in- deksu? Na warszawskiej AM nie próbowano zastanawiać się nad tym, że łamanie dyscypliny studiów ułatwia „uczenie się” w przedsesyj- nych zrywach — byle do egzaminów. zamiast systematycznego, rzetelnego przygotowywania się do przyszłej pracy zawodowej. Nie zastanawia- no się i nad tym, że jak najwygod- niej i sprzeczne z zarządzeniami „układanie sobie studiów” ma i in- ne skutki: wychowany w takiej at- mosferze, przyzwyczajony do la- twizny student w przyszłości nie bę- dzie chciał podjąć się trudnej, nie- raz pełnej wyrzeczeń pracy lekarza.

Obawy potwierdzają się i to je- szcze jak! W ubiegłym roku na 400 absolwentów tej uczelni tylko kilku wyraziło chęć podjęcia pracy na wsi. Ten nad wyraz jaskrawy przy- kład powinien dać wiele do myśle- nia władzom i aktywowi uczelni.

„Koledzy z aktywu nie rozmawia- ją z nikim o wyjeździe na wieś, nikogo nie agituja, gdyż obawiają się, by ktoś ich nie spytał: „a mój kolego, pójdziesz na wieś?” Taką ocenę sytuacji usłyszeliśmy na o- statnim Plenum ZSP.

Oczywiście, są wśród absolwentów i tacy, którzy chcą iść do pracy tam, gdzie będą najbardziej potrze- bni, którzy naprawdę kochają swój zawód. Takich kolegów byłoby z pewnością o wiele więcej, gdyby aktyw uczelni własnym przykładem porwał za sobą innych. Ale o tym, by ogłosić zaciąg pionierski na war- szawskiej AM, wspomina się tylko z cicha i nieśmiało.

Na zebraniu V roku lekarskiego w sprawie wyboru przyszłego miej- sca pracy tow. Pogonowska oświad- czyła: „Myślicie, że wszyscy dosta- niecie pracę w Warszawie? Otóż oświadczam wam, że w Warszawie nikt nie zostanie. Macie tu ankiety. Wypełnijcie je, i możecie iść do do- mu”. Oto „wychowawcze” wyjaśnie- nie!...

*

Czy dyscyplina studiów jest na- prawdę potrzebna? Dlaczego nie

wszyscy będą pracować w dużych miastach? Problemy takie nurtują studentów warszawskiej AM. A gdy nie ma ich kto wyjaśnić, gdy studenci zostawieni są sami so- bie — taki niepokój z pewnością nie pomaga w nauce.

W niedalekiej przyszłości studen- tów warszawskiej AM czekają o- wiele trudniejsze, codzienne próby i egzaminy zdawane przed pacien- tem i własnym sumieniem. Ochrona zdrowia — największego skarbu człowieka — oto co każdy pacjent powierza lekarzowi. W naszej roz- kwiatającej ojczyźnie potrzebna jest coraz bardziej troskliwa i pełnowar- tościowa opieka lekarska, potrzebu- je jej przede wszystkim wieś polska. A tu nie wywiązują się ze swego zadania ani władze uczelni, ani organizacje młodzieżowe na war- szawskiej AM; nie wychowują leka- rzy na miarę naszych czasów.

I co z tego, że cyfrowe wyniki nadchodzącej sesji zapowiadają się podobno nienajgorzej? Czy to będą naprawdę dobre wyniki?

JERZY AMBROZIEWICZ

Nasze konferencje

P o t e m a t y — n a w i e ś!

Studenci i pracownicy naukowí WSR Olsztyn dobrze zdają sobie sprawę z faktu, że konferencja teo- retyczna wtedy spełni swoje zadanie, gdy z formy kampanijnej sta- nie się stałym odcinkiem walki o podniesienie poziomu naszej wie- dzy. Dlatego po zakończeniu pierw- szej konferencji organizujemy obec- nie drugą, ale techniczno-naukową (nie teoretyczną) na temat: „Rezer- wy w produkcji rolniczej, ich uru- chomienie i znaczenie ekonomiczno- polityczne”.

Już sam temat mówi, że jest to ważne przedsięwzięcie. Szczególnie w rolnictwie województwa olsztyń- skiego tkwią ogromne rezerwy go- spodarcze: pomoc w ich wykryciu oraz w uruchomieniu niewątpliwie przyczyni się do realizacji wytycz- nych II Zjazdu PZPR. Dlatego swój udział w konferencji oprócz studen- tów zgłosili również wszystkie za- kłady naukowe oraz katedry.

Ogólne założenia obecnej konfe- rencji są zupełnie różne od poprzed- niej, ponieważ opiera się ona nie na teorii, lecz na bezpośredniej współpracy ze wsią. Będziemy tu

współpracować z jedną gromadą indywidualną (Królikowo), ze wsią Jemiołowo, gdzie jest już spółdziel- nia produkcyjna, ale pozostały jesz- cze gospodarstwa indywidualne, ze spółdzielczą wsią Sudery oraz z dwoma PGR.

Współpraca ta polegać będzie na tym, że studenci — uczestnicy konfe- rencji — będą wyjeżdżać do wy- mienionych wyżej gromad i badać możliwości produkcyjne gospodar- stw. Np. grupa łakarstwa badać będzie stan łąk (rodzaj i jakość gle- by, zasobność w składniki pokarmo- we, wilgotność, trawostan itd.) ce- lem zorientowania się, czego można żądać od łąki, a co daje ona obec- nie. Uczestnicy konferencji od razu wskażą chłopom jak polepszyć pro- dukcję, a jednocześnie zgromadzą materiały do swych prac.

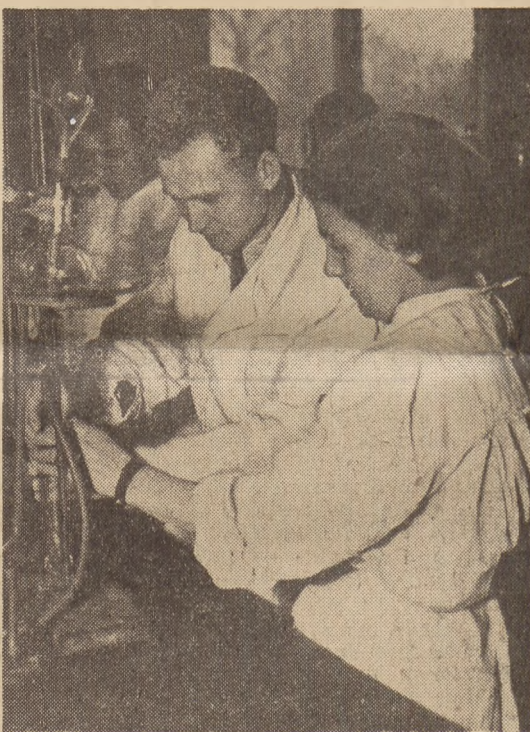
Celem konferencji jest więc wy- krycie rezerw produkcyjnych rolnic- twa i pomoc w ich uruchamianiu poprzez opracowywanie niektórych sposobów podniesienia wydajności gospodarstw chłopskich i przekazanie ich wsi. Niemniej ważne bę- dzie tu pogłębienie współpracy mię- dzy pracownikami naukowymi a chłopami oraz konkretne zapoznanie studentów z socjalistyczną przebu- dową wsi.

Konferencja trwać będzie cały rok, ale okres ten podzielony jest na

kilka etapów. Od mar- ca do września bieżą- cego roku uczestnicy za- poznają się z warunka- mi danych gromad i go- spodarstw, dokładnie przeanalizują ich możli- wości produkcyjne. Od września do listopada nastąpi dokładne opra- cowanie planu gospo- darczego gromady, wy- kazanie możliwości i sposobu uruchomienia rezerw produkcyjnych. Trzecim etapem będzie konkretyzacja wszyst- kich wniosków i pisanie prac na konferencję. Wszystkie wnioski zo- staną przekazane chło- pom i działaczom gos- podarczym.

W chwili obecnej gru- py robocze przy poszcze- gólnych zakładach wy- jeżdżają już w teren, a wraz z nimi wybierają się również nasze zes- pory artystyczne.

STANISŁAW LEWANDOWSKI WSR — Olsztyn



Studenci uczelni rolniczych swój udział w konfe- rencjach teoretycznych opierają na doświadcze- niach przeprowadzanych w terenie i w laborato- riach.

Foto: Pieńkowski — CAF

Nim zakwitną kasztany...

Wszyscy dobrze znamy stare stu- denckie „powiedzonko”: „trzeba się zacząć uczyć do egzaminów, bo kwitną już kasztany”. Wierni temu przysłowiu studenci zaczęli się przygotowywać do sesji letniej w maju, czyli w ostatnich minutach przed egzaminami, a wtedy wyniki pracy były... różne.

Cóż o tym sądzą studenci war- szawskiej WSP, którzy w tym ro- ku będą mieli dość trudną sesję? W sali 52 przykuwa uwagę wiszą- ce na ścianie hasło: „16 lutego za- czynamy przygotowywać się do let- niej sesji egzaminacyjnej”. Takie wezwanie rzucił II rok polonistyki już po zakończeniu sesji zimowej.

Mógłby ktoś powiedzieć, że to utopia. Ale koleżanki Nina Kubiak i Marysia Rybarczyk na takie po- wiedzenie oburzają się: „Utopia jest

nie to, że zaczęliśmy się przygo- towywać do egzaminów letnich od lu- tego, ale byłoby nią przygotowanie się do sześciu egzaminów dopiero przed sesją!”

Nasze koleżanki mają nauczkę z sesji ubiegłego roku, kiedy uczy- ły się w ostatniej chwili. Wpraw- dzie sesję wówczas zaliczyły, ale stać je przecież na lepsze wyniki. Teraz, przed obecną sesją, mają już powtórzoną poważną część grama- tyki, psychologii i literatury. Wia- domości z literatury polskiej cały II rok polonistyki pogłębił w cieka- wy sposób: w bieżącym seme- strze urządzono sesję naukową poświęconą okresowi oświecenia i ro- manizmowi w Polsce — teraz te dwa okresy studenci mają „w jednym palcu”.

Zajrzyjmy do innych wydziałów WSP. Czy tam również pamiętają

o sesji? Rumiana blondynka, Ba- sia Siemińska z II roku filologii rosyjskiej, może porozmawiać z na- mi tylko chwileczkę, gdyż śpieszy się na wykład. Jak to? Przecież dziś jest czwartek i na statec go- dzin ich rok nie ma żadnych zajęć? No tak, ale po wynikach ostatniej sesji zimowej okazało się, że na ro- ku jest wielu studentów, którzy mają poważne trudności w opano- waniu języka rosyjskiego. I dlatego od końca lutego prof. Czajkow- ska na prośbę studentów urządziła dodatkowe, cotygodniowe zajęcia, przeznaczone na konwersację w ję- zyku rosyjskim. Już teraz widać wyniki tych wysiłków.

Ale II rok filologii rosyjskiej nie poprzestał na solidnym przygotowa- niu się do egzaminu. Koledzy z WSP, chcąc jeszcze lepiej opanować język, wystąpili do Ministerstwa z inicjatywą urzędzenia w czasie ferii letnich wczasokursu językowe- go. Projekt zatwierdzono: w lipcu II i III rok filologii rosyjskiej je- dzie do Otwocka na taki wczasow- kurs.

Również „pachnie już sesją” na I roku historii. Na konsultacje i re- petytoria zgłasza się tu sto procent studentów i przeważnie wszyscy są sumiennie przygotowani. Tak było na repetytorium z historii starożyt- nej i tak było na konsultacji z mar- kszizmu-leninizmu. Cała grupa opie- kuje się starszymi kolegami. Kol. „Roślinka”, Lichtarska i Walczak już w czasie sesji zimowej odczuli, ile daje im koleżeńską pomoc.

Ale i na tej uczelni są takie sek- cje, grupy i tacy studenci, którzy jeszcze odkładają naukę „na po- tem”. Na II roku fizyki kolokwium sprawdzające z ekonomii politycz- nej wypadło bardzo słabo: na 40 zdających było 11 niedostatecznych (na innych kursach to samo kolok- wium zdawali studenci dobrze i bardzo dobrze). Czyżby koledzy z fizyki naprawdę wierzyli, że wy- starczy zabrać się do nauki, gdy zakwitną przysłowiowe kasztany?

Wig.



Trzy razy po pięć! Taki był wynik pierwszego, nieco przedterminowe- go egzaminu, który kol. Zosia Mroczek, Ela Ejsmont i Danuta Habort z war- szawskiej WSP zdała właśnie u prof. Łaszeńskiego. Pogoda — jak widać — sprzyjała.

Foto: Czarnogórski — CAF

Już drugi raz...

zadowalające, zwłaszcza jeśli się zważy zupełnie, poniechanie przez szkołę jakichkolwiek metod presji administracyjnej przy rekrutacji.

Kierownictwo pracami studentów nad poszczególnymi tematami po- wierzono na roku II — Katedrze Ekonomii Politycznej, a na roku III Katedrom: Ekonomiki Przemysłu, Ekonomiki Handlu oraz Finansów i Kredytu. Studenci byli podzieleni na kilkuosobowe grupy pracujące pod opieką konsultantów — asysten- tów wszystkich katedr uczelni.

Całością prac przygotowawczych kierował prorektor do spraw nauki oraz Komitet Organizacyjny, złożony z przewodniczącego, dziekanów, kie- rowników wymienionych katedr oraz przedstawicieli ZMP i ZSP. Sprawa konferencji była również przedmiotem wielokrotnych debat na posiedzeniach Senatu, na radach wydziałowych, w grupach studen- ckich oraz na zebraniach organizacji młodzieżowych. Konferencja zm- bilizowała więc do współpracy wielki kolektyw studentów oraz samodziel- nych i pomocniczych pracowników nauki.

Tematy oraz plany ustalono już w październiku ubiegłego roku, a do końca tegoż miesiąca zakończono za- pisy studentów do udziału w kon- ferencji. W połowie marca br. od- dano gotowe referaty, które zostały ocenione przez katedry, a autorzy najlepszych prac przygotowali na- stępnie ostateczne zbiorcze elabora- ty na sesję.

Sama sesja zorganizowana była w ten sposób, że w ciągu dwu dni wygłaszano referaty i po każdym z nich odbywała się dyskusja oraz podsumowanie wyników przez kie- rownika katedry. Sesję zakończono rozdaniem nagród studentom, którzy napisali najlepsze referaty. I tak pierwsze nagrody otrzymali: na ro- ku II — Henryk Żywiół, a na roku III — Edward Hanh, Stefan Preńeta, Franciszek Gniadek, Hali-

na Kasproicz i Teresa Gąsiorowa ska.

Wielki wkład pracy kolektyw studentów oraz pracowników nauk dał pomyślne rezultaty. Mimo dość surowych wymagań przeciętna oce- na prac złożonych przez studentów wypadła na dobrze. Referaty zbior- cze świadczyły o poważnym zaa- wansowaniu ich autorów w opano- waniu ośmiu zagadnień, a szcze- gólnie o stałym postępie w opano- wywaniu zasad marksizmu-leniniz- mu i ekonomii politycznej. Autorzy starali się ukazywać żywy związek nauki z życiem praktycznym, rea- lizację praw ekonomicznych socja- lizmu w sposób jak najbardziej kon- kretny.

Do błędów, których nie uszegli się organizatorzy II Konferencji, należy między innymi postawienie zbyt obszernych tematów. Wpra- wdzie katedry rozbiły je na szereg tematów cząstkowych, mimo to jed- nak referaty zbiorcze nie były do- statecznie pogłębione i nie wyczer- pywały w pełni zagadnień. Należało również dać studentom możliwość za- poznania się z tezami poszczegó- lnych referatów, aby mogli wcześniej przygotować się do dyskusji. Dysku- tanci poświęcali swoje przemówie- nia z reguły uzupełnieniom wywo- dów referenta, a nie polemice i kry- tyce, choć cenne byłoby naświetla- nie tematów z różnych punktów wi- dzenia. Jednak mimo tych zastrze-żeń trzeba stwierdzić wysoki poziom wypowiedzi wielu studentów.

Oceniając ogólne rezultaty II Kon- ferencji Teoretycznej Studentów WSE w Krakowie możemy stwier- dzić, że s. e. n. i. t. a. o. n. a. z. o. g. o. ł. s. w. e. istotne cele i stała się, niewątpliwie dalszym poważnym krokiem na drodze pogłębienia pracy tej uczelni.

DR EUGENIUSZ GARBACIK

Przewodniczący Komisji Organizacyjnej II Konferencji Teoretycznej Studentów WSE w Krakowie

Nie tędy droga



Romuald Konopa, słuchacz II roku wydziału budownictwa lądowego, jest inteligentny i zdolny. — Muszę z mechaniki ogólnej zdać na dobrze albo bardzo dobrze — opowiadał kolegom. No cóż, takiej postawie należy tylko przyklasnąć, chłopak nie tylko zdolny, ale ma ambicję, chce być przodującym studentem. Nikt tylko nie przypuszczał, jakimi drogami i w jakim celu pragnie się wybić nasz, zdawałoby się, dobry kolega. Po egzaminie pisemnym prof. Rutecki polecił o oznaczonej go-

dzinie przyjść starostom grup wraz z indeksami, kartami egzaminacyjnymi i protokółami, aby wpisać stopnie. Ponieważ każdy był ciekawy co otrzymał z pierwszego egzaminu, przed katedrą zebrała się spora grupa studentów. Profesor chcąc przyspieszyć załatwienie formalności, poprosił kilku kolegów o pomoc. Praca poszła szybko. Błyskawicznie załatwiono grupę III, lecz gdy przystąpiono do grupy II prof. Ruteckiego wezwano do telefonu. Na tę chwilę czekał tylko Konopa.

Wziął kartę, na której były wypisane stopnie z ćwiczeń i na miejsce stopnia dostatecznego wpisał — dobry. Ponieważ kol. Konopa egzamin napisał dość dobrze, profesor zmyślony fałszywą oceną z ćwiczeń, kazał wpisać ocenę bardzo dobrą. Kol. Konopa wyszedł uradowany z gabinetu i zaczął chwalić się, że stypendium premiowe ma już prawie w kieszeni. Teraz dopiero okazało się, w jakim celu i jakimi drogami starał się tak usilnie o dobry stopień. Nie własną uczciwą pracą, a nazwijmy to po imieniu — oszustwem Profesora, który ma wielu słuchaczy, może by mu udało się oszukać, ale nie oszukał kolegów, którzy z oburzeniem odnieśli się do jego postępków. Nie tędy droga do wybiecia się, ani tym bardziej do zdobycia wiedzy. Kol. Konopa okazał się zdolny nie do nauki, ale do przestępstwa, którego nie mogliśmy i nie chcieliśmy tolerować. Musiał on powtórnie zdawać egzamin i na stopień zasłużyć własną pracą.

A zebranie ZMP-owskie, na którym omawialiśmy jego postawę, powinno jego i jemu podobnych nauczyć, że takich wypadków nikt w myśl złe zrozumianego koleżeństwa nie będzie ukrywał.

JANUSZ DERECKI
Politechnika Gdańska

Poobrazali się i już...

Wszystko rozpoczęło się na wieczorku zapoznawczym, który zorganizowaliśmy na początku roku akademickiego.

Jedna z koleżanek powiedziała, że „ciężko tańczyć”. Kolega odpowiedział jej w równie bezpośredni sposób, no i macie...

Koleżanki od tego wieczoru obraziły się na cały rodzaj męski naszej grupy i zorganizowały się w bojuowy obóz.

My — mężczyźni, nie pozostaliśmy dłużni i utworzyliśmy drugą, antagonistyczną frakcję. I teraz mamy w jednej grupie (I roku wydziału finansów szczebińskich WSE) 2 grupy — męską i żeńską. Co gorsze — w ramach tych grup powstały liczne podgrupy i ugrupowania, tak, że obecnie cały nasz „front narodowy” znajduje się w rozpypce.

Popatrzmy jak to wygląda w praktyce:

Na sali wykładowej my siedzimy po jednej stronie, a one po drugiej, podczas przerw — my gromadzimy się w jednym końcu korytarza, a one w drugim, do kina, czy teatru my idziemy osobno i one osobno, w kolektywach — my uczymy się razem i one razem.

Obecnie mają się odbyć uczelniane eliminacje zespołów artystycznych. W ogóle nie wyobrażam sobie jak to będzie wyglądało. No bo jakże np. taki Franek może tańczyć w charakterze krakowiaka, jeśli nie posiada sukienki, a po drugie ma okropnie owłosione nogi, no i po trzecie — musiałby zgolić wąsy.

To wcale nie jest śmieszne, bo w sesji, zimowej dwóch kolegów nie zdało egzaminów, a było poza tym wielu poprawkowiczów — jasne, że nie mieli rzetelnej pomocy całego kolektywu.

Uważam, że powinniśmy skończyć z fałszywie pojętą ambicją „obrażonej płci” i przyznać się do błędów, za które winę ponoszą obie strony.

T. J.

(na podst. korespondencji Jerzego Matwiejczuka z WSE — Saxein)



Nec Hercules — contra plures

Moim zdaniem na manowce (a do tego może doprowadzić chuligaństwo) staczają się te jednostki, które chodzą „swoimi” drogami, nie mają przed sobą jasno postawionych i określonych celów i nie czują żadnej odpowiedzialności za to, co robią.

Zastrzegam się, że nie chodzi tu o żadne ograniczenie i skrepowanie młodego człowieka, o zaciąganie go siłą do kolektywu. Nie chodzi tu także o moralizowanie, wieczne wtłaczanie do głowy zadań, perspektyw itd. Chodzi tu natomiast o pracę dobrze zorganizowanego i wysoko postawionego kolektywu, w którym każdy znajdzie swe miejsce, swoją drogę i zadanie.

Student żyje nie na kłęczycu, lecz w konkretnych warunkach — w kolektynie. Jeśli kolektywę potrafi przyciągnąć każdego członka rozmaitością i atrakcyjnością form pracy, jeśli zainteresuje się o jego sprawy osobiste, pomoże mu, to wówczas nie ma obawy, aby ten lub ów student odizolował się i poszedł sobie swoją drogą.

W naszym kolektynie jest 16 kolegów i ponad 40 koleżanek. Koledzy różnią się nie tylko wiekiem. Pochodzą z różnych stron kraju, uczyli się w różnych szkołach. Różnią się bardzo charakterami.

W przeważającej większości są to dobrzy aktywiści ZMP-owscy. Nie można jednak powiedzieć tego o wszystkich.

Kolega W. np. często popisywał się bikińskijskim sposobem tańca nie tylko na zabawach, ale również w pokoju mieszkalnym a nawet w sali wykładowej podczas przerwy. Używał ordynarnych wyrazów i w swych przekonaniach odmawiał uczciwości każdej kobiecie. Był zapalonym sportowcem, uczył się średnio.

Również kol. Z. miał zawsze w zapasie pełno grubych żartów i dowcipów, nie chciał brać udziału w żadnej pracy społecznej, zaniedbywał się w nauce.



Oczywiście koledzy ci brnęliby tak dalej, gdyby pozostawiono ich samym sobie.

Zaczęło się od przygotowań do eliminacji zespołów artystycznych. Postanowiliśmy zająć jedno z pier-

wszych miejsc. Na próbach szczególnie przeskakał kol. Z. — rozmawiał i popisywał się swoimi dowcipami. Utrudniało to pracę. Zwracanie uwagi przez prowadzącego próbę nie odnosiło skutku.

Wtedy uciekliśmy się do tłęgo środka. Na zebraniu aktywny sekcijnego postanowiliśmy zająć w stosunku do niego jednolitą, zdecydowanie potępiającą postawę. Na następnych zajęciach kilkakrotnie skoncentrowaliśmy się na nim ponad 20 par oczu, w których nie czytał aprobaty swego postępowania.

Zmieszał się, poczuł się nieswojo i uspokoił się — poczuł siłę kolektywu.

Kol. W. otrzymał pracę na odcinku sportowym, wszedł w skład reprezentacyjnej drużyny koszykówki. Praca ta zainteresowała go i pochłonięta. Wywiązuje się z niej dobrze. Wykonywanie każdej pracy wymaga podporządkowania się pewnej dyscyplinie. Dyscyplina zaczęła oddziaływać i na kol. W. — zmienił się widocznie.

Obecnie ten sam kol. W. gorąco oklaskiwał na naszym zebraniu jedno z podjętych przez nas zobowiązań pierwszomajowych. Zgodnie z tym zobowiązaniem zorganizujemy zabawę we wsi Miętno pow. Garwolin woj. warszawskie. Uzyskane w ten sposób fundusze przeznaczymy na zakup sprzętu sportowego dla tamtejszego LZS. Ze swej strony kol. W. zaproponował rozegranie spotkania w koszykówce z LZS Miętno. Propozycję przyjęliśmy z radością.

Nasz kolektyw ma czas wypełniać swoją pracę. Poza nauką, prawie wszyscy pracują w kołach naukowych, zaś wszyscy bez wyjątku należą do uczelnianych zespołów artystycznych. Oprócz tego stanowimy odrębny zespół artystyczny, który jest właściwie grupą agitacyjno-propagandową. Opracowujemy własny program artystyczny i często wyjeżdżamy do wspomnianej już wsi Miętno.

Bawimy się również wspólnie. W naszej uczelni wchodzi już do tradycji wieczornice, organizowane przez poszczególne sekcje z udziałem asystentów i profesorów wykładających na danej sekcji. Wieczornice te połączone z występami artystycznymi w dużej mierze przybliżają się do życia i zaprzeczają studentów — członków jednego kolektywu.

Alle nie o formach pracy chciałem tu pisać, nie to było moim celem. Chciałem tylko wykazać, jak kolektywę poprzez różnorodne formy pracy może wpłynąć na człowieka i wychować go.

Gdzie dobrze pracuje kolektyw, gdzie każdy ma czas wypełniać swoją pracę, prawidłowo wykorzystuje go na naukę i rozrynek, tam nie ma sprzyjającego gruntu do rozwoju chuligaństwa.

Nasi znajomi kol. W. i kol. Z. nie są jeszcze tacy, żeby nie można im było nic zarzucić. Jeszcze nie zdążyli oczyścić swego słownika, a kolede W. jeszcze czasem imponuje bikińskijskim sposobem tańca. Jednakże zmienili się bardzo przez te kilka miesięcy wspólnego życia.

Żeby zmienili się zupełnie i stali się dobrymi studentami, muszą jeszcze nad sobą dużo popracować, a pomoże im kolektyw.

W człowieku ścierają się dobre i złe skłonności. Aby przezwyciężyć dobre, nie można opuszczać rąk i pozostawiać ludzi samym sobie. W kolektynie do niepoznania zmienia się człowiek: urabia się jak wosk i hartuje jak stal.

JAN KITA
WSP — Warszawa

Korespondenci SYGNALIZUJA

O PEWNEJ BIBLIOTECE

Takim miejscem, gdzie można przed sesją wkuwać w spokoju ducha, jest Biblioteka Jagiellońska. Znajduje w niej schronienie wielu medyków. Doskonale bowiem są tu nie tylko zbiory, nie tylko urządzenia umożliwiające ich wykorzystanie, ale świetna jest także atmosfera wytwarzana przez personel obsługujący. Rozmawiają tylko szepem, chodzą w miękkich pantoflach, radzą się cicho, jak usprawnić pracę.

Dla nas, medyków, Biblioteka Jagiellońska ma jednakże swoją złą stronę — nie posiada odpowiedniej ilości podręczników medycznych. Jeden egzemplarz potrzebnego podręcznika jest przedmiotem ciągłych łowów. Na zapytanie czy jest można zwiększyć ilość egzemplarzy, dyrektorka Biblioteki Jagiellońskiej odpowiedziała: „Macie przecież także swoją medyczną bibliotekę”.

Istotnie mamy, ale niestety nie możemy się w niej uczyć. Można za to pojąć zobaczyć i usłyszeć co się w niej dzieje. Rozlegają się tam nieskrepowane rozmowy par pracujących w bibliotece z woznymi, którzy nudzą się w przerwie między rozmowami, pogwizdują wcale nie z cicha. Powitania wchodzących pracowników są obustronnie owacyjne, rozmowy telefoniczne barwne, ciekawe i bynajmniej nie krótkie.

Ala nie tylko to można usłyszeć w bibliotece AM. Można jeszcze usłyszeć

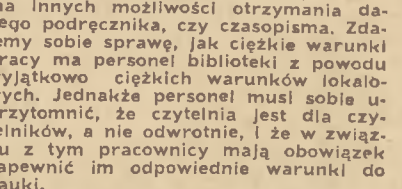


szereg niepochebnych epitetów jeśli by komus wpadła do głowy nierozsądna myśl skrytykowania stosunków tam panujących. Jak z tego widać, o atmosferze do pracy nad książką nie ma mowy. Pomimo to wielu studentów musi chodzić do tej biblioteki, bo nie ma innych możliwości otrzymania danego podręcznika, czy czasopiśma. Zdajemy sobie sprawę, jak ciężkie warunki pracy ma personel biblioteki z powodu wyjątkowo ciężkich warunków lokalowych. Jednakże personel musi sobie uświadomić, że czytelnia jest dla czytelników, a nie odwrotnie, i że w związku z tym pracownicy mają obowiązek zapewnienia im odpowiednich warunków do nauki.

A. MAZ.
AM — Kraków

ZEGAR — DEKORACJA

Jeszcze w grudniu ubiegłego roku Administracja DS w Białymstoku rozpoczę-



ła instalację znajdującą się w korytarzach i w stolówce zegarów elektrycznych.

Wszyscy czekali sylwestrowej nocy,

gdyż wtedy miłano uruchomić zegary. Przeszła jednakże noc sylwestrowa, przeszło wiele innych dni i nocy, a zegary są nadal zepsute.

Wydaje się nam, że trzeba tylko trochę dobrej chęci ze strony Administracji DS, aby zegary wreszcie stały się zegarami, a nie dekoracją.

HENRYK MIKSZA
AM — Białystok

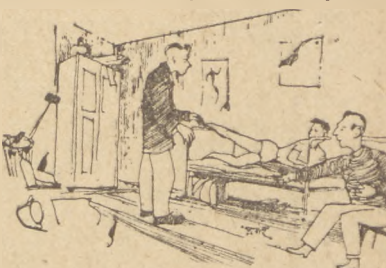
gdyż wtedy miłano uruchomić zegary. Przeszła jednakże noc sylwestrowa, przeszło wiele innych dni i nocy, a zegary są nadal zepsute.

Wydaje się nam, że trzeba tylko trochę dobrej chęci ze strony Administracji DS, aby zegary wreszcie stały się zegarami, a nie dekoracją.

HENRYK MIKSZA
AM — Białystok

POKOJ NR 168

W DS przy pl. Grunwaldzkim 106 w Wroclawiu, w pokoju 168 mieszka koledzy z III r. wydz. matematyczno-fi-



zycznego, którzy nie wyobrażają sobie jak powinni mieszkać studenci. Pokój po wyjściu kolegów — to zrujnowane, opuszczone mieszkanie: brudna, zasmiecona podłoga, nigdy nie zascieniona łóżka, spod których wyglądają kartonowe pudełka udekorowane brudną bielizną. Za szafą mieści się magazyn złomu, butelek, patyków i innych rzeczy. W szafie obok chleba i kukuruk gniazda cebula.

Takimto stanowi rzeczy postanowił zarządzić kol. Urbanik, który niedawno zamieszkał w tym pokoju. Rzmawiał on kilkakrotnie ze swoimi współlokatorami, przekonując ich o potrzebie utrzymania czystości. Koledzy poparli jego wniosek, ale jak dotąd pokój wyglądał nie zmienić.

Może Rada Mieszkanców pomoże kolegom w utrzymaniu czystości?

MIECZYSLAW NIEMIEC
UBB — Wrocław

STRASZNY DWÓR

Rektorat WSE w Krakowie i organizacja zetemowska postanowiły urządzić wycieczkę na przedstawienie operowe w Bytomiu.

Zamówienie do Opery wystawno trzy miesiące temu. W sprawie otrzymania

STRASZNY DWÓR

bileto był dwa razy w Operze dyrektor administracyjny, była tam również delegacja studentów. Niezależnie od tego ZU ZMP przesłał pismo z umotywowaniem obciążenia przez studentów WSE opery Moniuszki.

Wreszcie całość organizacyjną przejął Orbis w Krakowie. Początkowo kierownik widowni tłumaczył zwiolę dużą ilością zgłoszeń z innych zakładów oraz ustalili ostateczny termin otrzymania biletów przez uczelnię na dzień 9 maja.

Po drugim czekaniu krakowski Orbis powiadomił nas, że 4.Vr. możemy odebrać obiecane bilety. Ucieszeni zgłosiliśmy się do Orbisu i otrzymaliśmy taką odpowiedź:

„Opera Bytomska odmówiła sprzedaży biletów, tłumacząc fakt tym, że Kraków ma w tej chwili swoją operę”.

To ci „opera”.

JERZY KONIECZNY
Przewodniczący ZU ZMP

Życie NASZYCH UCZELNI

Praca wyjaśniająca już dziś daje rezultaty. Wielu uczniów klas XI pod wpływem pracy naszych ekp złożyło ankiety na wydziały rolnicze; i tak na przykład: kol. Jarek z Wrocławia wycofał skierowanie z uprzednim zamierzonych studiów chemii ogólnej, a złożył podanie na wydział rolny, by móc specjalizować się w zakresie chemii rolniczej. Kolega Dulawski zrezygnował ze studiów na medycynie i złożył podanie na wydział zootechniczny.

Takich przykładów pracy aktywnej uczelni jest wiele. Wysłek profesorów i studentów dał już pozytywne rezultaty.

ANDRZEJ LEŻNICKI
WSR — Wrocław

U PRZYJACIÓŁ

22 kwietnia z okazji IX rocznicy podpisania układu o przyjaźni polsko — radzieckiej polscy studenci uczący się w saratowskich uczelniach zorganizowali z pomocą Miejskiego Komitetu Komsomolu wieczer przyjaźni polsko — radzieckiej.

W wieczornej uroczystości udział wzięli przedstawiciele KPZR i sekretarz Miejskiego Komitetu Komsomolu tow. Suworow. Referat o powojennym rozwoju Polski wygłosił komсомолец Monosow. O pomocy Związku Radzieckiego i wpływie radzieckiego środowiska na polskich studentów mówił J. J. Barsukiewicz, student IV roku wydziału filologicznego.

Po uroczystej części oficjalnej odbył się koncert, w którym wzięli udział studenci radziecy. Występował również chór polskich studentów prowadzony przez ormiańskiego studenta konserwatorium, tow. Bogasierienę. Wykonane również przez nich dwa tańce ludowe zostały bardzo serdecznie przyjęte przez widzów. Poza tym w koncercie wzięli jeszcze udział studenci czechosłowaccy, bułgarscy i węgierscy, którzy zakończyli akademie narodowym tańcem „Kania”.

FRANCISZEK BERWATKA
Saratów, ZSRR

PO PROSTU

Reportaż ze „stażu“

Halo!! Halo!! Tu służba sprawozdawcza radiowęzła Domu Medyków.

Znajdujemy się w tej chwili w Klinice Ginekologiczno - Położniczej, gdzie przebywają na stażu nasi koledzy z czwartego roku wydz. lekarskiego.

Właśnie udajemy się do ich pokoju, aby zorientować naszych słuchaczy, jak przebiega życie stażystów.

Jak wiadomo, staż przewidziany jest przez Ministerstwo Zdrowia w celu podniesienia kwalifikacji położniczych absolwentów wyższych szkół medycznych.

Stażysty otrzymują nocleg oraz pełne utrzymanie i mogą spokojnie poświęcić czas na doskonalenie swych umiejętności.

Właśnie wchodzimy do pokoju stażystów. Wszyscy ubrani są w białe fartuchy, czapeczki. W pokoju jest trochę duszno, dużo dymu z papierosów, ale nie ma co się dziwić — okna ściśle zamknięte symbolizują całkowite odizolowanie się od świata zewnętrznego.

Wszyscy stażysty skupieni są przy dużym przykrytym kocem stole, na którym leżą... karty, ołówki, papier i sporo popiołu. W tej chwili sytuacja jest bardzo napięta — licytacja. Padają krótkie, ale

spokojne słowa, widać, że mamy przed sobą starych wytrawnych graczy, którzy już „niejedną talie kart tasowali”.

W tej chwili do pokoju wchodzi goście witani bardzo serdecznie, niektórzy zebrani powstają nawet z miejsc.

To nie wchodzą stażysty, żaden nie ma białego fartucha, ani nawet czapeczki lekarskiej. Jeden z kręgu otaczających stół kibiców informuje nas uprzejmie. Są to starysi koledzy z piątego roku, którzy zamiast siedzieć na nudnym wykładzie z medycyny wojskowej (na którym pokazali się niestety trzeba, bo sprawdzają obecność — przyp. red.) przychodzą pomagać młodszemu kolegom i przekazywać im swe doświadczenia, które nabyli właśnie w tym pokoju w roku ubiegłym.

Oddajemy głos jednemu z najsympatyczniejszych stażystów, popularnemu Jasiowi Trąbce. — „Mimo że są cholerne nudy, czuję się dobrze. Wprawdzie przegrałem dzisiaj 40 zł, ale uważam, że nie należy tracić pogody ducha. Do końca stażu jeszcze daleko”.

Dziękujemy koledze Trąbce i z kolei prosimy o parę słów kolegę Starostę, który mówi o pracy na stażu.

„Pracujemy dużo, niektórzy koledzy nawet 36 godzin bez przerwy, rzadko kto pozwala sobie na odpoczynek i idzie na poródkówkę czy na salę operacyjną. Trzeba przyznać, że rezultaty tego są doskonałe.

Koledzy, którzy na początku stażu kwalifikowali się do trzeciej ligi, wybitnie podciągnęli się, grają z głową, rozważnie, nie denerwują się przy licytacji. Jeśli chodzi o lekarzy, to trzeba z przykrością stwierdzić, że nam nie pomagają, oczywiście nie dlatego, żeby nie umieli, ale dlatego, że nie chcą. Najprawdopodobniej grają sami. Ich zaleta jest to, że przynajmniej nam nie przeszkadzają i czasami są

bardziej do rzeczy niż niektórzy koledzy, tacy jak np. kol. Makuch, który w swojej grupie sprzeciwiał się graniu w karty. Na szczęście takich aktywistów jest niewielu i można się spodziewać, że wyjeżdżając na prowincję nie przyniesiemy wstydu naszej uczelni, o ile oczywiście będzie możliwe zorganizowanie czwórki do brida”.

Dziękujemy kol. Staroście i wszystkim kolegom za miłe przyjęcie. Zegnani ulubioną piosenką stażystów pt. „Tu, szuler jest między nami, szukajcie go sami — Camramba!” opuszczamy pokój stażystów zadowolonych, z pełnym przekonaniem i wiarą, że...

1) Kierownicy Kliniki Położniczej i lekarze zainteresują się tym, co robią studenci na sali.

2) Organizacja ZMP na czwartym roku wydz. lekarskiego (a nie jak do tej pory tylko kol. Makuch) przestanie tolerować marnotrawienie czasu i lekceważenie obowiązków przez stażystów.

3) Wszyscy studenci wreszcie zechcą zrozumieć, że nie to jest złe, że gra się w brida, ale to, że gra się w tym czasie, który powinien być przeznaczony na naukę.

ANDRZEJ MAZUREK
AM — Kraków



Wydawca: Instytut Prasy „Czytelnik”.
Redaguje kolegium.
Adres Redakcji: Warszawa 18, ul. Wiejska 17/1. Telefony red. nacz. — 841 24. Centrala 832 91.
Prenumerata: w urzędzie pocztowym najbliższym miejscu zamieszkania lub PPK „Ruch” Kont. PKO nr 1-8003 — Warszawa w terminie do 10 każdego miesiąca na miesiąc następnym. Miesięczna zł 1-40 kwartalnie 4-20 półrocznie — 8-40 rocznie — 16-80.
Administracja: RSW „Prasa” III Delegatura Warszawa ul. Marszalkowska 8 tel. 807 11.
Drukarnia: RSW „Prasa” Warszawska 3/5.
5-B-13585

Szlakiem wielkich Biegów

Jak przed kilku laty Chro-
mik, Potrzebowski, czy Krzy-
żkowiak, stanęła w tym ro-
ku młodzież miast i wsi na
starcie Biegów Narodowych.
Zaludniły się boiska sporto-
we — piękna pogoda pomogła orga-
nizatorom, stworzyła dobre warunki
dla debiutantów na biegn. Strzał
czy gwizdek startera był dla tysięcy
młodych chłopców czy dziewcząt
sygnałem do rozpoczęcia pierwszej
w życiu próby, był sygnałem do
walki o jak najlepsze rezultaty.

Ci, którzy pierwszy przetrwali ta-
śmę mety rozpoczną z wiarą we
własne siły intensywne treningi,
by w ciągu już najbliższego sezonu
uzyskiwać coraz lepsze rezultaty.
Zdobycy dalszych miejsc powin-
ni z jak największym zapałem pra-
cować dalej nad swoją formą, kto
wie czy za rok oni właśnie nie zde-
tronią tegorocznych mistrzów.
Aby to osiągnąć, trzeba już teraz
rozpocząć uporczywą walkę o se-
kundy — zejście w biegu na 1000
m poniżej trzech minut jest już
przebieżnym sukcesem. Biegi
Narodowe rokrocznie wylaniają
następców Pestkówny, Potrzebow-
skiego. Niewątpliwie i ten rok po-
ważnie wzmocni kadry naszych
średnio-dystansowców.

Dotychczas odbyły się dwa rzuty
Biegów Narodowych. Wśród
startujących nie zabrakło również
studentek i studentów wszystkich
uczelnii Polski.

Tegoroczne Biegi Narodowe zo-
stały przez Zarządy Uczelniane
Kół AZS włączone w program do-
rocznych spartakiad, były one ich
częścią składową, były ich otwar-
ciem.

Otrzymały dotychczas meldunki
jakkolwiek niepełne, sygnalizują w

zestawieniu, że najlepszą organiza-
cją tegorocznych Biegów poszczę-
ścić się może Uniwersytet Jagiel-
loński w Krakowie. Na stadionie
„Ogniwa” stanęło na starcie 1280
studentów i studentek, wśród któ-
rych 1025 zdobyło normy na odzna-
kę SPO. Wśród kobiet najlepsza
była kol. Salwińska z czasem 1,42,4
przed Kdukową, w grupie męskiej
najlepszy czas 2,46,2 uzyskał kol.
Swierczyński. Organizacja, posta-
wa sportowa i dyscyplinowanie
zawodników, mogą być wzorem
pracy przygotowawczej. Taką pra-
cą nie może wykazać się koło AZS
przy krakowskiej Politechnice, któ-
rego członkowie jak dotąd nie
wzięli udziału w Biegach Narodo-
wych tłumacząc się udziałem w e-
liminacjach zespołów artystycznych
i pracą społeczną w Nowej Hucie.
Krakowskiej Politechnice dotrzy-
mali kroku koledzy po fachu z
Warszawy. Tutaj na starcie stanę-
ło około 500 zawodników dając
się wyprzedzić o wiele mniej licz-
nej uczelni jaką jest warszawska
SGPiS, która wystawiła około 570
zawodników.

O wiele lepiej zaprezentowała
się Politechnika Wrocławska, gdzie
wśród 750 mężczyzn najlepszy był
kol. Brzózka osiągając czas 2,35,8,
a kol. Jezierska pokonała w czasie
1,28,0 sześćdziesiąt dziewięć rywali.

W „konkurencji” uniwersytetów
uczelnia warszawska znalazła się
na szarym końcu. 700 startujących
to stanowczo za mało jak na tak
liczną uczelnię tym bardziej, że w
zestawieniu z Uniwersytetem Mi-
kołaja Kopernika w Toruniu licza-
ba czterystu startujących wyglą-
da o wiele bardziej imponująco.
Wrocławski Uniwersytet im.
Bolesława Bierutów zorganizował

otwarcie Biegów Narodowych
szczególnie uroczyste. Na otwar-
cie, którego dokonał rektor prof.
dr Marczewski, wręczono legity-
macje i znaczki AZS rektorowi o-
raz zastępcy rektora mgr Węgrowi
i majorowi Rutowiczowi. W kon-
kurencji męskiej najlepszy czas u-
zyskał kol. Wackowicz 2,44,0, a
kol. Gacówna osiągając 1,30,0, po-
konała kol. Salwińską, która osią-
gnęła najlepszy czas na Uniwersyte-
cie Jagiellońskim. W Biegach Na-
rodowych na Uniwersytecie Wroc-
ławskim wzięło udział ogółem
1000 osób. Z Uniwersytetu Poz-
nańskiego donoszą, że w pierw-
szym rzucie Biegów Narodowych
wzięli udział jedynie studenci lat
I i II, objęci obowiązkowym Stu-
dium WF. Stawia to w złym świe-
tle pracę Koła AZS, które nie po-
trafiło właściwie zorganizować tre-
ningów dla studentów lat star-
szych.

Listę otrzymanych meldunków
zamykają komunikaty z Akademii
Medycznej z Rokitnicy i Wrocławia.
W Rokitnicy startowało około
500 studentek i studentów. Normy
na odznakę SPO zdobyło 335 osób.
Na starcie Biegów Narodowych
AM Wrocław stanęli jedynie stu-
denci lat pierwszych w liczbie o-
koło 200 osób. Biegi dla lat star-
szych zostaną przeprowadzone w
terminie późniejszym.

Powyższy komunikat z powodu
braku meldunków z pozostałych
środków nie jest pełny. Poz-
wala on jednak stwierdzić, że or-
ganizacja tegorocznych Biegów Na-
rodowych w dwóch pierwszych
rzutach nie wszędzie wypadła po-
myślnie. Uczelnie wlokące się na
razie w ogonie winny zmobilizo-
wać swe siły i z jak najlepszy-
mi wynikami przeprowadzić tę wa-
żną i ciekawą imprezę.

Na podstawie korespondencji
kol. J. Janczarka Wrocław, R.
Kobzy Rokitnica, A. Wojtowska
Toruń, H. Konika Poznań, J. Bis-
kupskiego Wrocław

opracował
ANDRZEJ GABRYŚ

Przed spotkaniem w Budapeszcie

XII Akademickie Igrzyska Studenckie, które odbędą się w ostatnich dniach lipca i pierwszych dniach
sierpnia br. staną się wspaniałym przeglądem sportu studenckiego na świecie i manifestacją przyjaźni,
młodości i pokoju.

Poniżej podajemy tabelkę najlepszych wyników studenckich na świecie w lekkoatletyce, życząc na-
szym studentom by za przykładem Stawczyka wpisali się na listę studenckich rekordzistów świata.

100 m Jeffrey (USA) 10,5 sek.	4 x 100 m (ZSRR) 41,4 sek.
200 m Stawczyk (Polska) 21,2 sek.	4 x 400 m (Anglia) 3:13,0 m
400 m Fogua (USA) 47,8 sek.	W. dal Long (Niemcy zach.) 7,61
800 m Beetham (USA) 1:53,3 sek.	Wzwyż Łansky (Czechosłowacja) 1,97 m
1.500 m Beccali (Włochy) 3:49,2 min	Soeter (Rumunia) 1,97 m
5.000 m Zatopek (Czechosłowacja) 14:28 min	Tyczka Nishida (Japonia) 4,30 m
10.000 m Siemionow (ZSRR) 31:40,0 min	Trojskok Szezerbakow (ZSRR) 15,09 m
110 m p. pl. Morris (USA) 14,4 sek.	Kula Fiedorow (ZSRR) 16,09 m
400 m p. pl. Arifon (Iran) 52,3 sek.	Tysk Klites (Węgry) 50:82 m
3.000 m z przeszkodami (ZSRR) 8:51,2 m	Oszczep Isakow (ZSRR) 70:25 m

UWAGA: Rezultaty powyższe osiągnięte zostały bądź na zawodach organizowanych przez Związki Studenckie albo
na poprzednich Akademickich Igrzyskach Sportowych Świata.

ilustrował Jerzy Cwiertnia

CORAZ LEPIEJ

Sprawozdanie z uczelnianej konferencji sprawozdawczo-wyborczej ZMP
na Akademii Medycznej w Warszawie

(Od specjalnego wysłannika „Pokrzywy”)

Piękna i pięknie ozdobiona
sala, trybuna, portrety,
mównica, hasła, prezydium
na trybunie i kilkudziesię-
ciu zgromadzonych na sali
delegatów — nie mogłem
właściwie zrozumieć czemu wysta-
nik „Pokrzywy” ma być obecny na
tak doniosłym zebraniu. Co dział
satyryczny ma do roboty przy tak
poważnym wydarzeniu, jakim jest,
a właściwie jakim powinna być,
konferencja uczelniana ZMP?

Na podwórzu grano w piłkę no-
żną, głośno przekrzykując się na-
zajem. Przez uchylone okna prze-
dostawały się wibrujące w wiosen-
nym powietrzu wesołe, młode głosy.
Tu, wśród zgromadzonych czulem
się niepotrzebny, a w każdym ra-
zie, niekoniecznym intruzem.

Wkrótce zorientowałem się, że nie
tylko ja jestem przepelniony uczu-
ciem obojętności. Delegaci siedzący
naokoło mnie czuli się podobnie;
jedni przerzucali gazety (stwierdzi-
łem z zadowoleniem, że z czeltni-
ctwem na AM jest nieźle), inni roz-
mawiali ze sobą (a więc z dyskusja-
mi — też dobrze), półgłosem co
prawda, żeby nie przeszkadzać prze-
mawiającym. Widziałem, że dla
wielu z nich obecność na konfe-
rencji jest częścią formalności. Przez
chwilę nawet zastanawiałem się,
czy czasem na sali nie ma więcej
przedstawicieli jakichś działów sa-
tyrycznych.

Tymczasem referat (był nawet
niezły) skończył się. Rozpoczęła się
dyskusja. Z tego miejsca gdzie sie-



— Zebranie już się rozpo-
częło kolego, wejdźcie po ci-
chu...
— Dlaczego, czy wszyscy
już zasnęli?
(wg pomysłu A. Móraskiego)

działem tylko poszczególne urywki
zdążyć docierać do moich uszu. Chy-
ba źle usiadłem? Zmieniałem kilka
razy miejsce przesiadając się do
innych stołów. Sprawdzalem, czy
nie mam waty w uszach. Ale prze-
konawszy się, że w takiej samej
odległości siedzi około jedna trze-
cia delegatów i najprawdopodob-
nie też mało co słyszą — dałem
spokój. Jeśli delegat przysłania tu-
taj przez setki zetempowców nie
przejmują się tym faktem — to dla-
czego ja, przypadkowy gość, mam
wylażać ze skóry?

Nie wiem, czytelnicy, czy wam
kiedyś zdarzało się siedzieć w wio-

Nagle... Twarze zebranych dele-
gatów dotychczas apatyczne i znu-
dzone ożywiły się, zagrały koloro-
wymi rumieńcami, w oczach zjawi-
ły się bliski zainteresowania i pa-
sja. Myślałem, że może znalazł się
na trybunie płomienny mówca, któ-
ry przemówi do serca, wywoła
sprzeciw, żywą dyskusję. Moje
przypuszczenie było jednak mylne.
Ożywienie miało inną przyczynę.
Oto przerwano obrady, żeby sł-
uchać komunikatu z kolejnego etapu
Wyścigu Pokoju. Zresztą, zrobiono
to słusznie. Jednakże, gdy po komu-
nikacie obrady zostały wznowione,
wszystko od razu wróciło do nor-

zeru. Nie mówiono także o tym, że
przez bite pół godziny starostowie
grup przekonywali swego organiza-
tora ZSP na roku, koleżankę Bo-
żenę Różycką, by zaniechała agitacji
na brygady żniwne, gdyż oni sami,
starostowie, nie mają zamiaru je-
chać i nie chcą być dwulicowcami
nie mogą przeprowadzać agitacji.
Mato mówiono o tym, że w o-
statnim roku akademickim, licząc
wiele setek młodzieży organizacja
zetempowska AM, przyjęła do swo-
ich szeregów — aż 5 osób. O tych
rzeczach nie mówiono.

Z bardzo nielicznymi wyjątkami
(wyjątki jak wiadomo potwierdzają
regule) dyskutanci starannie uni-
kali drażliwych tematów, krytyki
ustępującego Zarządu, i, wiecie, te-
go co szczególnie boli.

Jak dobrze — myślałem — musi
się dziać na tej uczelni, jeśli tak
bezmieśnie, bez spórów i „zwi-
schenrufów” przebiega konferencja
uczelniana.

Toteż byłem zaskoczony i jak
najgorzej chciałem protestować,
gdy ktoś powiedział, że praca or-
ganizacji na AM jest znacznie gorsza
niż na innych uczelniach. Czyż ta-
kie słowa to nie objaw braku deli-
katności uczuć? Chciałem protesto-
wać w imieniu „Pokrzywy”, ale wy-
reczyła mnie przewodnicząca ze-
brania kol. Roszkiewicz, która prze-
wała mówiącemu okrzykiem: „kon-
kretnie”. Bravo, koleżanko Roszkie-
wicz! Czyż taka konferencja nie jest
najlepszym, najbardziej konkretnym
dowodem powszechnej zgody
i przyjaźni między wyrozumiałości?
Tym bardziej, że w równie grzecz-
nej i miłej atmosferze rozpoczęły
się wybory do Zarządu Uczelniane-
go. Zanołowałem tylko jeden nie-
przyjemny zgrzyt. Kol. Mrągawa
dał się ponieść swoim namiętno-
ściom i krzyknął: „Przecież wy nie
zastanowiliście się nawet nad kan-
dydatami. Ludzie, zastanówcie się...”
Ale ten niefortunny „Rejtan” nie
znalazł na szczęście postuchu. Dele-
gaci mieli już dość tej trwającej
prawie trzy godziny konferencji, w
której kol. Roszkiewicz natrętnie,
co chwila, zachęcała do udziału w
dyskusji.

I zrozumiałe, że mieli dość. Bo
konferencja ta była drugą z kolei.
Pierwsza trwała osiem godzin i
przerwano ją z powodu braku quo-
rum, gdyż znaczna część delegatów
znalazała pilniejsze sprawy od obec-
ności na konferencji uczelnianej.
Na poprzedniej nie byłem obecny.
Ale przewodniczący ZU oświadczył,
że dyskusja na tej drugiej konfe-
rencji (na której miałem zaszczyt
reprezentować „Pokrzywę”) była o



— Jeśli wam to pomoże, dajcie mi znać, od dwudziestu lat sam cier-
pię na tę chorobę.

z „Mistura” — Irlandia

BOGUSŁAW WOJNAR

O inżynierze łaśniku

Kiedy z dyplomem w rękę swój rejon odszukał,
Wbrew staremu przysłowiu, poszła w las nauka.

wiele lepsza. O ile ta była lepsza,
więc tamta była gorsza. Cieszymy
się, że na AM jest coraz lepiej.

By uzupełnić swoje sprawozdanie
pragnę jeszcze dodać, że nieobec-
nych na tej konferencji, drugiej
z kolei, było 26 delegatów, reprezen-
tujących, jak to łatwo obliczyć, wię-
le setek zetempowców. Brakło na
konferencji także przedstawicieli
organizacji partyjnej, nie mówiąc
już o przedstawicielach dziekana-
tu i władz uczelnianych.

Na tych suchych liczbach i fak-
tach kończę niniejsze sprawozda-
nie. Jak widać z powyższego teza
początkowa się potwierdziła i przed-
stawiciel „Pokrzywy” niepotrzebnie
znalazł się na tej konferencji. U-
czelniana konferencja ZMP na A-
kademii Medycznej — to wydarze-
nie wcale niewesołe.

